№ 16. Warszawa, dnia 20 (8) Kwietnia 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DLA WIADOMOŚCI.

Sławianskija Izwiestia, organ głośnego Słow. Towarzystwa Dobroczynności w Petersburgu, pod nową redakcyą zajmują się stale polakami a nawet otworzyły w swych kolumnach osobną dla nich rubrykę. Przesuwają się tu notatki i artykuły. Zwrócimy uwagę na dwa ostatnie numery, które nam dostarczą rysów, znamionujących *Izwiestia*, będące głównem źródłem idej rusko-słowiańskich, w stosunku do nas i braci naszych. Stosunek ten znać trzeba.

W korespondencyi „z mogił słowiaństwa zachodniego," to jest z ziemi polskiej pod panowaniem pruskiem, p. Ludwik Ż—yński przesyła redakcyi sprawozdanie z wiecu, który się odbył w Poznaniu na początku marca, dołączając przytem uwagi o zmianie usposobień śród polaków tamecznych. Oto ważniejsze punkty jego wywodu:

Na wiecu tym przedstawiciele 3½ miliona polaków postanowili wspólnemi silami bronić się od wynarodowienia, uczyć w domu dzieci języka ojczystego i wiary przodków, ażeby one nie zdziczały pod panowaniem kultury niemieckiej, tępiącej mowę polską i wydzierającej ujarzmionym prawa. Tu niemcy spotkali daleko mocniejszy opór, niż przypuszczali; chciwością zaś swoją i okrucieństwem sprawili to, że Rosya uczuła potrzebę zagrodzenia im drogi na Wschód. Za środkami politycznymi poszły ekonomiczne. Obecnie — mówi dalej autor *Sław. Izw.* — toczy się wojna ekonomiczna między Niemcami i Rosyą, rujnująca moralnie i materyalnie obie strony. Walka ta rodzi narodową i plemienną nienawiść między ludami Europy i może zakończyć się daleko poważniejszą, która tym razem będzie straszną i niszczącą. O tem wszystkiem wiedzą polacy pruscy i pojmują, że im bardziej Rosya wykorzenia kulturę niemiecką, tem więcej zyskuje przyjaciół i sprzymierzeńców w narodach słowiańskich. Teraz chodzi tylko o to, ażeby jej przyjacielem i sprzymierzeńcem stał się polski, którego wrogie uczucia ku niej wyzyskują niemcy. Na wiecu poznańskim w obecnych warunkach nie mogły odezwać się głosy przyjazne dla Rosyi, ale też nieprzyjaciół już ona nie ma w tej dzielnicy. Sam instynkt zachowawczy skłania nas do zjednoczenia się z Rosyą, a i ona czuje coraz wyraźniej potrzebę zwrotu przeciwko niemcom, wyzyskującym niezgodę narodów słowiańskich, siejącym śród nich nienawiść do swej sąsiadki na zachodzie i południu, która traci siły w Azyi a wpływy w Europie między pobratymcami. „Wolę ja — pisze w zakończeniu swego artykułu p. Ludwik Ż—yński — ażeby naród polski żył w biedzie pod jednym dachem z pokrewnym mu narodem ruskim, niż żeby wynaturzał się i demoralizował u bogatych niemców. Niech oni tylko przestaną szczepić waśni i nienawiść między narodami a ludy słowiańskie zaraz pogodzą się z sobą; wtedy jednakże *Vaterland* niemiecki będzie musiał szanować prawa i własność słowian a niemiec nie będzie mógł śpiewać z dumą: „ojczyzna moja znajduje się wszędzie, gdzie brzmi język niemiecki."

Dotąd p. Ludwik Ż—yński. Rozumowanie jego streszcza się w następujących twierdzeniach: śród polaków dojrzewa już świadomość niebezpieczeństwa od strony niemców i potrzeby związku z Rosyą; Rosya również zrozumiała to niebezpieczeństwo i tę potrzebę; powinna ona rzucić całą swą moc w obronie ludów słowiańskich, które chętnie skupiłyby się pod jej skrzydłami.

Obok tej korespondencyi mieści się w *Sław. Izwiestiach* (nr. 13) artykuł prof. Kojałowicza p. t. „Główniejsze przyczyny nietrwałości ustroju politycznego w dawnej Polsce." Po długim rozbiorze twierdzeń Bobrzyńskiego, autor tak się odzywa w końcu. „Koleją losów historycznych, w których najmniej uczestniczyła świadomość słowiańska ze strony ruskiej i polskiej, pod władzą Rosyi znalazła się ta sama część Polski etnograficznej, w której jej narodowość objawiała się silniej, niż w innych dzielnicach, dłużej ustrzegła się od rozkładu zachodnio-europejskiego i bliższą była swym składem narodowi ruskiemu, mianowicie Mazowsze, czyli obecne Królestwo Polskie, i w tej to, niegdyś lepszej części narodu polskiego, Rosya obecnie pracuje nad wskrzeszeniem słowiańskich pierwiastków życia. Dała ona ludności tego kraju swobodę według zasad słowiańskich, tj. z ziemią, daje oświatę słowiańską, zamyka duchowieństwo łacińskie w granicach pasterstwa odpowiednich słowiańskiemu pojmowaniu ich, a w swoich cerkwiach prawosławnych, znajdujących się w różnych miejscowościach, nawet czysto polskich, daje polakom naoczny wzór tego, jak się Boga chwali w języku ojczystym i zdala od namiętności tego grzesznego świata... Niewątpliwie są już polacy, rozumiejący to, lecz jeśli mamy na względzie nie jednostki, lecz społeczeństwo, to mimowolnie powstają pytania: Kiedy polacy przejrzą? Kiedy w nich przebudzi się uczucie słowiańskie? Kiedy ich świadomość tak opromieni się światłem słowiańskiem, że oni sami śmiało i szczerze przyznają obecne dobro słowiańskie dawnego Mazowsza, zaczną zwoływać tu braci z innych dzielnic, Mało- i Wielkopolski a także polaków osiadłych w Rosyi zachodniej i połączonemi siłami, pod osłoną Rosyi słowiańskiej, rozwijać dalej to rzeczywiste dobro narodu polskiego i strzedz go od niemieckiej i żydowskiej zagłady?"

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Senat francuski zamienił się na trybunał i pozwał przed siebie Boulangera wraz z jego wspólnikami. Dopełniono wszakże tylko formy, gdyż za ex-generałem zbiegli do Belgii Rochefort, Dillon i inni. Sądzeni będą zaocznie i — jak wieść niesie — surowo. Zebrane przeciw nim dowody zawierają podobno kilkanaście tomów. Mają tam być instrukcye zbuntowania armii, umowy z kapitalistami amerykańskimi, którzy za dostarczone pieniądze otrzymaliby monopol telegraficznych lin podmorskich itp. Nietylko monarchistom, ale nawet republikanom materyał ten nie wystarcza. Tak np. *Journal des Debats* mniema, że oskarżenie nie ma dostatecznej podstawy. Jest to przesada w cnocie, nadmiar sumienności, przy pomocy którego teoretycy zwykle rzucają kije pod nogi ludziom praktycznym. Że Boulanger działał na szkodę Rzeczypospolitej, że wynajmował się ze swym wpływem najrozmaitszym stronnictwom i pretendentom, o tem wszyscy są przekonani, nawet ci, którzy udają nieprzekonanych. Ale dla ścisłości prawniczej potrzeba pełnego kompletu dowodów. Powtarza się tu historya z naszymi koniokradami, o których cała okolica wie, że konie kradną, ale nie mogą być uwięzieni dla braku dowodów.

Pewien poseł belgijski, utrzymujący salon podobny do naszych, do których się wszystko zgarnia, co chwilowo po wierzchu pływa, sprowadził sobie na wieczór Boulangera, nie uprzedziwszy o tem przedstawicieli rządu własnego i obcych. Wynikło to, co wyniknąć musiało: zobaczywszy bandytę politycznego, panowie ci wynieśli się co prędzej, pozostawiwszy go zawsze ciekawym i zawsze dla „odważnych" miłym kobietom.

Słusznie zauważono, że w tym roku wiosna rozpoczyna się widnokręgiem tak bezchmurnem, jakiego już w Europie oddawna nie widziano. Szruba budżetów wojskowych tu i owdzie posunęła się w górę, ale to już nikogo nie razi i nie przestrasza. Cisza przedświąteczna dołączyła do tej pogody politycznej zawieszenie wielu spraw. Dziś więc zapiszemy tylko parę faktów nagich.

Austryackiej Radzie państwa przedstawiono nowy kodeks karny, którego duszą jest minister hr. Schönborn. Jeżeli powiemy, że dusza ta należy do kopalnych, znajdywanych w szczątkach mamutyzmu społecznego i umysłowego, to pojmiemy, dlaczego szczodrze szafuje karą śmierci i za samo „osłabianie wiary" chce karać trzyletniem więzieniem. Ponieważ żadna guma nie może być tak rozciągliwą, jak ten paragraf, więc przy dobrej woli stosujących go wkrótce wszyscy niezależni badacze znaleźliby się w kryminale. Dodać tu trzeba, że konstytucya austryacka pozwala obywatelom meldować się w policyi jako „bezwyznaniowcom." Meldunek taki niewątpliwie „osłabia wiarę," zatem i „konfensionslosów" również do kozy. To się nazywa logika, swoboda i „Kulturstaat."

Minister wojny w Prusach Bronsart v. Schellendorf wyskoczył z siodła, które po nim zajął komendant Strassburga p. Verdy du Vernois. Maybach, pomimo prysznicu sprawionego mu przez Stephana (ministra poczt), jeszcze się trzyma a urzędówki głoszą, że ta hydropatya wyjdzie mu na zdrowie.

Cesarz niemiecki obejrzawszy wylew Warty w Poznaniu dozwolił zachodnią część tego miasta wyłączyć od przepisów fortecznych i zabudowywać trwale.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KASA LEKARSKA.

Jeszcze w r. 1882 dr. Rogowicz opracował projekt kasy wzajemnego zabezpieczenia kapitału pośmiertnego dla wdów i sierot po lekarzach. Projekt ten ulegał przeróżnym zmianom w ciągu lat kilku, aż nareszcie przedstawiono go do zatwierdzenia władzy. Ta ostatnia żąda tylko zmiany § 12-go, w którym niema mowy o wymaganiu świadectw lekarskich o stanie zdrowia kandydatów na uczestników projektowanej kasy. W przyszłym miesiącu formalność ta zostanie uzupełnioną i przepisy wejdą w życie. *Medycyna* (nr. 14) ogłasza rzeczoną ustawę, z której ważniejsze artykuły czerpiemy: 2) Kapitał pośmiertny dla wszystkich uczestników kasy zabezpieczenia jednakowy, wynosi 3,000 rs. 3) Całkowitą sumę powyższą otrzymają: wdowa żyjąca z uczestnikiem aż do chwili jego śmierci w prawnie niezerwanym związku małżeńskim, oraz dzieci prawe, przysposobione lub naturalne, prawnie uznane, pozostałe przy życiu po śmierci uczestnika, jeżeli ta nastąpi nie wcześniej niż po upływie trzech lat od chwili przyjęcia go do grona uczestników kasy. 4) Z kwoty 3,000 rs. na rzecz wdowy zalicza się 1,000 rs., a na rzecz wszystkich pozostałych dzieci, bez względu na ich liczbę i wiek — reszta, tj. 2,000 do równego podziału. 5) Wdowa oraz dzieci pozostałe po uczestniku kasy, zmarłym przed ukończeniem się trzyletniego terminu od chwili przyjęcia go na uczestnika kasy, mają jedynie prawo do zwrotu wniesionych przezeń składek rocznych bez procentu. Fundusz powyższy będzie rozdzielony w ten sposób, że wdowa otrzyma z niego $1/3$, a wszystkie dzieci do równego podziału — $2/3$. Jeśli wdowa pozostanie sama, zabiera całość. To samo stosuje się do dzieci zupełnie osieroconych. 6) Po zmarłym bezdzietnie uczestniku pozostała wdowa otrzymuje 1,000 rs., jeżeli czyni zadość wymaganiu w § 3 wyrażonemu. W razie zaś, gdy po zmarłym pozostają same tylko dzieci bez matki lub też gdy wdowa nie czyni zadość wymaganiu § 3, albo gdy wogóle z jakiego innego powodu, np. zapisania testamentem całego kapitału pośmiertnego wyłącznie dla dzieci, nie ma ona prawa do kapitału pośmiertnego; wtedy całe 3,000 rs. przechodzą na własność dzieci do równego podziału, bez względu na ich wiek i liczbę, o ile umierający uczestnik nie pozostawi co do nich odpowiedniego rozporządzenia. Wdowa bezdzietna w takim tylko razie ma prawo do korzystania z tego paragrafu, jeżeli najmniej rok jeden przeżyła w małżeństwie i jeżeli uczestnik nie zawarł z nią związku po 60 roku swego życia. 7) Uczestnik zmarły nie wcześniej, jak po upływie 3-ch lat należenia do kasy zabezpieczenia, nie pozostawiający ani dzieci, ani wdowy, może zapisać 150 rs. rocznie dla swych rodziców, lub jednego z nich, jako dożywocie. 8) Nie pozostawiający żony, dzieci, ani też rodziców, uczestnik, który do daty swojej śmierci przynajmniej przez lat dziesięć wnosił składki, może zapisać kwotę nie przewyższającą połowy wniesionych składek, dla podupadłego lekarza, nie będącego uczestnikiem kasy zabezpieczenia, lub dla sierot nieletnich po takim lekarzu. 9) Wypłata jednorazowa kapitału pośmiertnego (§ 3, 4, 6) nastąpi najpóźniej w pół roku od daty zawiadomienia o śmierci uczestnika. Wypłata dożywocia liczy się od najbliższego 1-go stycznia i 1-go lipca każdego roku i wypłaca się w ratach kwartalnych z dołu. Przy wypłacie kapitału pośmiertnego lub dożywocia, potrąca się z niego resztę nieopłaconej składki, przypadającej do końca roku ubezpieczenia zmarłego uczestnika, z doliczeniem procentu w stosunku 6% rocznie. 10) W razie niezgłoszenia się po wypłatę kapitału pośmiertnego w ciągu lat 3-ch, jako też po ustaniu wypłaty doży-

ŻYDZIĄTKO.

OPOWIADANIE.

Przykryło długą rzęsą gwiaździste oczy, przytuliło główkę do białej poduszki i śpi tak słodko... Nie wiem, czy mi się roi, ale przysięgłabym, że widzę jakiś cień, jakiś wyraz zdziwienia na tej twarzyczce: dziwi się, że mu tak dobrze, miękko, czysto i ciepło, że główka jego nie zwiesza się z posłania i niezadarta też zbytnio do góry, że zasnęło nie od zmęczenia i głodu, lecz zakołysane łagodnie, po wypiciu pełnej filiżanki ogrzanego mleka...

Serdeńko ty moje, jak ja ciebie kocham.

— Ach, panie doktorze, odejść mi się nie chce od tej kołyski nawet do przyległego pokoju — czysty obłęd! Egzaltacya ta przejdzie zapewne po dniach kilku, ale teraz widzę go jeszcze ciągle u tych niegodziwych ludzi i to mię czyni chorobliwie czułą. Rzecz dziwna, że pan znalazłeś biedaczka zdrowym, pomimo wyniszczenia; o, bo dotychczas bardzo on był daleki od waszej hygieny dziecinnej. Nieczno pan tylko posłucha: sypiało biedactwo w starym koszu od bielizny, siennik przykryty grubą płachtą, tworzył zwykle góry i doliny, podnoszące wysoko główkę i wyginające w kabłąk plecki, lub odwrotnie wypinające środkową część ciała, podczas gdy głowina i nóżki zapadały w jamy. Ileż to razy zastawałam leżącego w ten sposób małego męczennika! Mówiłam też czasami do szanownej jego opiekunki:

— Pani Piotrowska — tak zwie się ta osoba — dlaczego nie wyrównacie mu sienniczka? Patrzcie, jak dziecko leży!

— E, moja pani, czy to mu na długo? Bachor rozbawiony, jak szczenię. Jak zacznie się rzucać na pościeli, to ją zmiętosi na kłaki. Czy to mi brak roboty, żebym ciągle stała nad jego siennikiem? Dobrze i to, że nakarmię i spać położę. Mam przecież swoje rodzone dziecko, i gospodarstwo i kłopoty — czulić się z żydziątkiem nie mam czasu.

Nie brano go na ręce, nie noszono prawie nigdy, a ma już przecie osiem miesięcy. Płakało to zwykle cicho, głucho — powrozowo jednak nerwy tych ludzi znosiły to filozoficznie. Czasem Piotrowski, wróciwszy z roboty do domu i nie zoryentowawszy się w progu, pytał:

— Czy to Antoś piszczy?

— Nie, bachor — mówiła spokojnie żona.

Główkę biedactwo samo się nauczyło podnosić z poduszki, ale usiąść nikt mu nigdy nie dopomógł. Kiedy czas miała wolny ta kobieta, raczej to zwierzę — nie mogę mówić o niej obojętnie... bo przecież to matka i nawet czuła matka dla własnego dziecka... więc kiedy czas miała, zmieniała na prędce gałgany leżące pod nim i znowu, znowu je kładła! A potem poiła go na prędce mlekiem, wprost z dużego kubka. Dziecko krztusiło się i krzyczało.

Pomimo wszystkiego i ono czasem bywało wesołe. Antoś — roczny chłopak, duży, tłusty i zdrowy, lubił patrzeć na małego towarzysza. Ten jeszcze nie wiedział, że to tylko „żydziątko." Matka, bawiąc pieszczocha, przynosiła go czasem do owego kosza. Antoś, zwykle z palcem na ustach, przypatrywał mu się ciekawie i spokojnie. Żydziątko zaś, zrzuciwszy z siebie liche przykrycie, wpadało w zachwyt prawdziwy; wytrzeszczało swe duże oczy i w jednym młynku obracało rączkami i nóżkami, śmiało się i wymawiało przeciągłe: aghi... aghu, khlii...

Podnosiło główkę i całem ciałkiem porywało się do dziecka na ręku... Nie wiedziało prawie, co to siedzieć na ręku.

— Ot, awanturuje się, parszywiec! — mówiła Piotrowska, krzywiąc usta, z wy-

wocia, kapitał pośmiertny 3,000 rs. przelewa się do funduszu zasobowego kasy zabezpieczenia. 11) Uczestnikiem kasy zabezpieczenia może być każdy lekarz, będący członkiem kasy wsparcia podupadłych lekarzy oraz wdów i sierot biednych po lekarzach, przy warszawskiem Towarzystwie lekarskiem istniejącej. Uczestnik taki w chwili przystąpienia do kasy, powinien liczyć mniej niż 26 lat wieku i nie więcej niż 60. 12) Pragnący zostać uczestnikiem, powinien dołączyć akt urodzenia i deklaracyę, że tytułem jednorazowego wniosku opłaci dwa razy tyle rubli, ile ma lat wieku. Wniosek jednorazowy może być rozdzielony na raty, z doliczeniem procentu w stosunku 6% rocznie.

ROBOTNICY ZAGRANICZNI.

Wiadomo, jak dotąd wielki był napływ obcokrajowców do nas w celu poszukiwania pracy i jak oni dobre wynagrodzenie dostawali, wypierając miejscową siłę roboczą. Obecnie Główny naczelnik kraju, po rozpatrzeniu tej sprawy zalecił, aby przepisy dotyczące przejścia granicy przez cudzoziemców na zasadzie kartek krótkoterminowych były z całą surowością prawa przestrzegane, mianowicie: 1) Pograniczni mieszkańcy Prus i Austryi mogą być przepuszczani przez granicę, jeżeli posiadają bilety legitymacyjne, dla pruskich poddanych z terminem nie dłuższym nad 8 dni, a dla austryackich — 4 tygodnie. 2) Jeżeli na tych biletach niema odnotowanego wejścia, właściciele ich nie będą z powrotem puszczani. 3) W razie znalezienia przy rewizyi innych biletów legitymacyjnych lub dowodów na zamieszkanie, należy je odbierać, a jeżeli cudzoziemiec posiada pasport oprócz biletu przejściowego, ten ostatni nie ma znaczenia. 4) Rewizya przepuszczonych osób ma być dokonywana nie pospiesznie, lecz bardzo ściśle, nazwiska zaś zrewidowanych będą wpisywane do ksiąg pasażerskich.

Nadto Główny naczelnik kraju polecił zastosować następujące środki: a) ustanowić ścisły nadzór policyjny, aby nikt nie pozwalał cudzoziemcom mieszkać u siebie dłużej nad wskazany w bilecie okres czasu; b) cudzoziemców dłużej przebywających należy skazywać na kary pieniężne, jak również osoby, u których zamieszkują; c) zobowiązać wszystkich właścicieli fabryk, zakładów przemysłowych i kopalń w dalszym niż trzymilowym promieniu od granicy, aby ci nie najmowali w jakimbądź charakterze cudzoziemców z biletami krótkoterminowymi, w obrębie zaś trzymilowym nie przyjmować zupełnie do zajęć poddanych austryackich, którym dozwala się pobyt jedynie dla odzyskania bydła skradzionego, oraz w interesach handlowych i majątkowych; pruskich zaś poddanych tylko na czas wyrażony na bilecie; d) władze policyjne mają prowadzić ścisłą kontrolę przebywających cudzoziemców.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 10 kwietnia.

Stare zasady twierdzą, że człowiek posiada aż trzy cechy: ludzką, anielską i zwierzęcą, a wyrażają się one rozumem, uczuciem i zmysłowością. Też same zasady dowodzą, że piękno uszlachetnia człowieka — rozważmy, jakie ma do tego sposoby.

Bezwątpienia najsilniejszym czynnikiem postępu jest słowo, we wszystkich objawach: poezyi, filozofii, historyi, krasomówstwa; łącząc te pojęcia w jedno, otrzymamy literaturę. Ona to budzi myśl naszą z uśpienia, rodzi i daje, zaszczepia pojęcia — wogóle oświeca umysł. Z innej strony, umie rozrzewniać, lub sprowadzać uśmiech na usta, uczy miłosierdzia, wzbudza zgrozę — więc działa i na uczucie. Francuzka szkoła ostatnich lat dowiodła, że realizm zabarwiony zmysłowością także znajduje wielbicieli, przychodzimy więc do przekonania, że literatura działa na wszystkie cechy człowieka.

Malarstwo może przedstawiać tylko jedną pewną chwilę: nie rozumuje, logicznych wniosków nie czyni — rzuca pewną prawdę i milczy. Gdy zaś przypomnimy, że literatura niechętnie bierze pomysły z obrazów, obrazy zaś przeciwnie, przyjdziemy do przekonania, że owa muza mniej wpływa na umysł. Na uczucie też mniej: książka często zmusza do łez, obraz — rzadko. Co się tyczy strony zmysłowej — malarstwo ma tu pierwszeństwo; bywają obrazki tak potwornie cielesne, że ich żadne pióro nie zdoła opisać.

Rzeźba jest surowszą od swej siostry, architektura zaś bardziej zastygłą; zresztą ta ostatnia wkracza w dziedzinę pożyteczności gospodarczej, więc bywa i Maryą i Martą...

Muzyka wcale nie działa na rozum. Słuchając świetnych koncertów, zostać lepszym można, lecz mędrszym — nie. Juści budzi czasem uśpioną myśl, lecz na gruncie nieużyźnionym literaturą żadnych owoców nie przynosi. Kochamy ową muzę podobno za to, że człowieka, znużonego pracą i walką, utula jak piastunka; kochamy ją dlatego, że w naszym mózgu tkwią nuty piosenek, które matki śpiewały przy kolebkach, że przypomina kwilenie ptasząt naszej wioski, szumy gajów, jęk boleści, westchnienia... słowem, kochamy ją za uczucie. Strona zmysłowa muzyki prawie żadna! Dzicy posługują się nią dla wzbudzenia namiętności, wojenne marsze zachęcają do ataku, lecz to jeszcze nie jest zmysłowością, tylko spotęgowaniem uczucia — dodatniego czy ujemnego — to już inne pytanie.

Znajdujemy jeszcze jeden czynnik, co nie przynosząc praktycznych korzyści, nie mało ma wielbicieli — mianowicie taniec, czyli ogólniej — gimnastyka. W silnem ciele — silna dusza, więc dla zgromadzenia energii, jeżeli postanowimy obrócić ją na coś korzystnego, ma racyę bytu, lecz to rzecz inna; gimnastyka zaś jako taka jest czynnikiem absolutnie cielesnym, ani umysłu nie oświeca, ani uczuć nie potęguje.

Działań Melpomeny nie potrzebujemy roztrząsać: dramat jest literaturą, opera — muzyką, balet — gimnastyką.

Zwróćmy się do wyników.

Społeczeństwo, posiadające i milujące literaturę — nie zginie, chociażby bramy piekieł targnęły się na nie. Siłą człowieka jestrozum, więc im więcej pewne społeczeństwo ma czynników dla krzewienia rozumu, tem ono jest trwalszem. Rozpadną się w gruzy dzieła Fidyasza, lecz Homera — nigdy! Miną krocie wieków, a grek będzie istniał, każdy bowiem czytający *Iliadę* stanie się nim w tej chwili.

Niewielebýśmy skorzystali z umysłowej pracy helenów, gdyby oprócz kilku posągów, innych pamiątek nie zostało. Grecy bez Homera, Herodota, Platona nie byliby grekami, byliby tylko narodem, co umiał rzeźbić dziwnie ładne posągi i wznosić gmachy. Niemiec, jeżeli spojrzymy nań z lepszej strony, umysłowe siły zyskał nie od Mozarta, lecz od Goethych, Kantów... Bezwątpienia p. Putkamer dzieł Mozarta słucha z zachwytem, a na Spinozę, Marksa, zżyma się... pewniej — wcale ich nie czyta.

Tak lub inaczej — przed zagładą ani pieśń bez słów, ani piramida, ani wrzawa kadryla, a tembardziej „hartowne strzały, mury i wały“ — nie ocalą; jeno to, co jest szczytem świadomości człowieka — literatura.

A teraz wracam do roli kronikarza. Wracam — łatwo powiedzieć, lecz jakież to

---

razem jakiejś grubej ironii na szerokiej twarzy.

Antek pochylił się ku żydziątku, wyciągnął rączkę i chwycił je za policzki, brał za nosek, ciągnął za czarne gęste włoski. Czasem dziecko krzyknęło od zbyt dotkliwej igraszki — ale na to nie zwracano uwagi. Antoś tak dobrze się bawił, zuch chłopak...

Rodzice siadywali nieraz przy kołysce Antosia-jedynaka. I u takich nawet ludzi pierwszy uśmiech dziecka, pierwszy wyraz niepojęty, wymówiony w tajemniczym języku dziecinnym, jest świętym. I tam nawet żaden nowy objaw rozwoju dziecka nie mijał niepostrzeżony. Chwytano go w lot i zachwycano się.

Moje biedne żydziątko rozwijało się nadzwyczaj szybko. Blade, suche, zaczęło jednak bardzo wcześnie gruchać; chcąc przybrać instynktownie jakąś lepszą pozycyę, gdy je rzucano niedbale do kosza, nabrało zwinności i sprężystości w rękach i nóżkach. Uśmiechało się ślicznie i nawet się na głos śmiało, kiedy Antosia widziało przy sobie; dźwigając biedną swą główkę, próbowało podnieść się do niego i zaczepić go za rękę lub za sukienkę. Biedaczek! Nikt na to nie zwracał uwagi, nikomu to radości nie sprawiało. Na tej miłej istotce nie spoczywał rozkochany wzrok matki lub ojca. Gdzież tam! Chociażby odrobinę życia, współczucia, litości wreszcie wzbudziło to maleństwo, to niewiniątko z pogodnemi, ślicznemi oczętami! Gdzież tam — sierota... i to sierota żydowska!

Antoś, jak wszystkie dzieci w jego wieku, lubił, kiedy go noszono i huśtano na ręku. Parę razy, żeby weselej mu było, Piotrowski brał na ręce żydziątko, stawał naprzeciwko żony, trzymającej Antka i zaczynali tańce. Antosiowi to się podobało, żydziątko zaś wpadało w ekstazę cichą i rozpromienione kołysało się całem ciałkiem. Po chwili jednak Piotrowski przestawał zwykle tańcować i mówił z obrzydzeniem:

— Ależ i czuć od niego, tfu!

— Wiadomo, żydziak — mówiła żona.

I kładziono go znowu do obrzydłego kosza...

Czuć od niego! A wie pan doktór, że kąpała go rzadko i to byle jak, czasem zalcedwie umoczywszy w wodzie, kiedy biedne dziecko, uczuwszy przyjemne ciepło, zaledwie się zaczynało rzucać radośnie i gruchać po swojemu. Obracała go brutalnie kilka razy, poszorowawszy mocno tu i owdzie twardym wiechciem (takim samym zresztą myje i swego syna). Kiedy zaś dziecko zanosiło się od płaczu, porywała je na ręce, obcierała starą szmatą i znowu kładła je do brudnego gniazda.

— Krzycz, krzycz, wrzeszcz koczkodonie! Wykrzyczysz się, to zaśniesz — mówiła ze złością, nie zbliżając się nawet do ochrypłego już od płaczu dziecka.

Potem dawała mu mleka; zgłodniałe i zmęczone uspokajało się i zasypiało rzeczywiście, jeśli było okryte. Jeżeli jednak cokolwiekbądź dolegało mu wyraźniej niż zwykle i dziecina nie mogła się utulić, śpiący zaś w tym czasie Antek budził się i z kolei płakać zaczynał — kobieta wpadała w niepowstrzymany gniew i nieraz żydzię biła... Nie mogę mówić o tem, panie doktorze, bo mi się źle robi...

Nie wiem jakim sposobem potrafiłam wytrwać tyle czasu, wymieszkać za cienkiem, drewnianem przepierzeniem. To tylko podtrzymywało mnie widocznie, że powróciwszy z telegrafu i lekcyj (uczę synka naczelnika dystansu), jeżeli Piotrowscy nie spali i wolno mi było wejść do nich, mogłam się zbliżyć do kosza nieszczęśliwego maleństwa. Po wypowiedzeniu kilku komplementów Antosiowi, dla pozyskania sobie szanownej jego matki, poprawiałam sienniczek żydziątka, czasem poiłam je mlekiem, czasem brałam na ręce. Zdarzało się

ciężkie zadanie. Zrzec się wszelkich osobistych upodobań i wciąż myśleć o tem, by zachować bezstronność. Kto mniema, że zapisywać do kroniki fakty jest rzeczą łatwą, wielce się myli. Żartów z tak poważnemi rzeczami czynić nie przystoi. Skoro napotkasz coś smutnego, trzykroć napiszesz i wykreślisz, pióro odmawia posłuszeństwa, a obowiązek zmusza do pisania... Dla społeczeństwa niewiele korzyści, jeżeli będziesz je idealizował, zakrywał wady, zachwycał się każdą błahostką — historya parsknie ci niegdyś śmiechem w oczy.

O upadku literatury wspominałem już w przeszłym roku, spojrzmy, co go spowodowało.

Gdy się zaczęły mnożyć utwory, ożywiające umysły — społeczność rozłakomiła się. Pokarm duchowy stał się jednym z warunków bytu. Pisma peryodyczne znalazły tysiące prenumeratorów. Ludzie dobrej woli zaczęli wydawać poważne miesięczniki, nie dla zarobku, lecz dla idei. Zwiększający się popyt dawał możność, nie licząc się z groszem, werbować na stałych pracowników najlepsze siły literackie. Pieniądze jakby na żart coraz obficiej płynęły. Natenczas ludzie praktyczni zauważyli, że wydawanie pisma jest rzeczą wcale korzystną... i zaczął się handel. Wydawca ściśle obliczał ilość wyznawców pewnego kierunku i gdy się upewnił, że zarobił, podejmował przedsiębiorstwo. O przekonaniach, o pożytku dla braci w tych razach nie myślano — zyskać jak najwięcej i niech się staje, co chce.

Weźmy do ręki naprzykład gazetę *Łucz*. Jej zasada łajać i spotwarzać wszystko, co się napotka: najelementarniejszych czynników wiedzy nie uznaje, chrześciańskich zasad wyrzeka się; jest to trąd społecznego ciała, na nieszczęście trąd zaraźliwy. Maluczcy duchem wiedzą, że dla wystąpienia na widownię nie trzeba ani się kształcić, ani ślęczyć nad wielotomowymi zasobami bogactw ludzkości, nie trzeba znać ani historyi ludów, nie trzeba badać filozofii, etyki, socyologii — trzeba umieć czytać, pisać, wymyślać — i już! Co innego p. Danilewski; dzieło jego z przedsięwziętym zamiarem obalenia darwinizmu jest zjawiskiem wcale przyjemnem, bo widzisz w nim człowieka, który pracował, gromadził materyały. Z nim można rozprawiać, można zbijać lub bronić. Profesor Famincyn z wielką bezstronnością i rozumieniem rzeczy w *Wiestniku Jewropy* (luty 1889 r.) mógł roztrząsać to dzieło o tysiącu stronicach, mógł je obalać... wówczas, gdy maluczkich krost poważny myśliciel ani dotknie! Rosną i krzewią się na niedolę.

Żadne społeczeństwo nie może żyć lichemi wrażeniami; gdy literatura skłoniła się do upadku, zaczęto szukać piękna w innej stronie. Muzyka wystąpiła na pierwszy plan: Rubinstein, Masini, Figner! Kobiety w każdym ruchu lubią wysuwać się naprzód i są ilustracyami czasu — ilustracye te wyjaśnią, że czy to w Warszawie, czy w Petersburgu, czy w New-Jorku wszędzie ludzkość szuka piękna nie tam, gdzie znaleźć może, lecz błądzi po manowcach. Wysokie *cis* stało się bożyszczem, wprawia w dewocki szał, odurza, upaja — stało się kultem... Niestety! kultem poziomu, albowiem ideały tłumu nie wzbijają się na wyżyny: taniec, brylant, suknia jedwabna, modny kapelusik i — w owym zbiorze rupieci — tenor... Biedni śpiewacy!

Gotowiście mię posądzić o pesymizm, więc daję jeszcze jeden obrazek z życia pań — naszych rodaczek.

Jedna z panien, należąca do lepszej cząstki towarzystwa, wyszła niedawno za mąż, za człowieka wykształconego, lecz niebogatego. Owóż stosując się do swego położenia, składała wizyty w *wełnianej* sukni. Mędrsza cząstka pań nie zwróciła na to żadnej uwagi, lecz znalazły się takie, co przy wszelkiej sposobności głośno wyrażają swe oburzenie: „Nieuszanowanie!.. zniewaga!“ I to są ludzie, co się zaliczają do światłych, co rej wodzą!.. Szanowny historyku przyszłych pokoleń, pomiń ten drobny fakt, nie wpisuj go w twe księgi, a przynajmniej, jeżeli upadniemy do ostatka, nie pisz na naszej mogile, że zarozumiałość, panoszenie się nas zgubiły. Przebacz przynajmniej dla tych dziesięciu sprawiedliwych, co święcą czas i zdrowie dla dobra ludzkości; dla tych, co nie tańczą, jak pokorne pieski przed oczyma jedwabnej plutokracyi, nie przedają godności za obiadki możnych; dla tych nareszcie, co nawet stojąc na widowni, nie budują sobie piedestału na grzbietach pokornych hultajów.

Co się stało z *Krajem*?.. Co to za „barany,“ „mandaty?..“ Skąd ten gorzki ton w odcinkach? Nic nie rozumiem!.. Chyba ów szanowny tygodnik znalazł nareszcie jakąś podstawę — wytworzył przekonanie, o które walczy? A jeżeli—nie! Jeżeli został, czem był, to jest gazetą „dla wszystkich,“ jeżeli jak przedtem dba tylko o dobry „interes“— po cóż spory?! Może interesy zachwiały się?.. Ha, w takim razie ma zupełną słuszność!

Działalność katolickiego Towarzystwa dobroczynności w 1888 r. lepiej się przedstawia, niż w poprzednim. Członków honorowych przybyło 14 i rzeczywistych 16. Oprócz tego, dzięki energii zarządu zyskaliśmy 94 członków, co się zobowiązali wnosić miesięcznie od 25 kop. do rubla. Bieżących sum wpłynęło 19,545 rs.; do nietykalnych sum przybyło 2,000 rs. i zapasu około 4 tysięcy. (Nr. 17 *Prawdy* 1888 r.).

Podług ustawy w tym roku miało wystąpić trzech członków zarządu a mianowicie pp. Zeddeler, Laski i Jocher; a ponieważ przeważnie na ich barkach spoczywał cały ciężar, więc zgromadzenie (110 głosów) uprosiło tych panów o zostanie i nadal. Na miejsce występujących wybrano w głosowaniu: d-ra Czeczota prawie jednomyślnie i inż. Orłowskiego—większością. Przewodniczył na wyborach twórca Towarzystwa senator Gartkiewicz.

Pytanie — jak Towarzystwo sprawi się w bieżącym roku?.. Czem zapełni dwie znaczne luki? W rubryce dochodów 1888 r. wykazano: odczyt p. Spasowicza dał 1,960 rs., bal—6,531 rs.; w tym zaś roku odczytu nie było, a z balu, dzięki doborowi towarzystwa — tańczącego — otrzymano prawie o dwa i pół tysięcy mniej.

Znowu mamy dwie wystawy obrazów: akademii sztuk pięknych i ruchomą—sprawozdanie odkładam do następnego listu.

N. B.

SPRAWY EKONOMICZNE.

BEDNARSTWO.

Na jednem z ostatnich posiedzeń warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu (sekcyi 4-ej) odczytano referat urzędu starszych zgromadzenia bednarzy. Sprawozdanie to odkryło nieco mało badaną u nas gałąź przemysłu, a właściwie było tylko skargą na smutne położenie. Bednarze żalą się na współzawodnictwo ludzi niefachowych, którzy przy pomocy kapitałów pozbawiają chleba rzemieślników uzdolnionych, lichą zaś robotą podkopują rzemiosło. „Prawie we wszystkich gorzelniach i browarach istnieją warsztaty bednarskie, kierowane właśnie przez ludzi niefachowych, posługujących się czeladzią tylko, która rozpróżniacza się tam i na fuszerce zatraca umiejętność rzemiosła.“ Wyroby wykonane przez bednarzy specyalistów są tak trwałe, iż mogą być używane przez lat 40—50. Dawniej miały one wielki stąd odbyt do Wilna, Grodna, Tuły, Helsingforsu. W ostatnich czasach zbyt do Ce-

---

to jednak rzadko, gdyż Piotrowski powracał do domu już o piątej, zakończywszy swe zajęcia kucharskie na banhofie i bez surduta, często podpiły, leżał i palił fajkę, a potem układał się spać aż do wieczora, aby wypocząć przed gotowaniem kolacyi na pociąg północny. Zamykano więc drzwi od nich na zaszczepkę, a tymczasem ja w te godziny tylko mogłam być w domu. Musiałam więc wszystko słyszeć, znosić i milczeć. Pozycya moja była tem dotkliwszą, że nie miałam u Piotrowskich żadnego poważania. Przyjechałam do tej nędznej, obcej, północnej mieściny w wytartej sukni i starym kapeluszu, złamana podwójnem nieszczęściem — stratą przed pół rokiem dzieweczki mojej i świeżem rozstaniem się z mężem. Przyjechałam tu pracować, jak panu już wiadomo, żeby dług spłacić! Nie dbałam wcale o niepokaźną toaletę i brak wielu potrzebnych nawet rzeczy; zapomniałam o tem zupełnie; pokazało się jednak, że źle z tem było biednej dziecinie. Piotrowska, chodząca na codzień w brudnym perkalowym szlafroku, ubierała się od święta w modne, chociaż zbyt jaskrawe suknie, pierzaste kapelusze i buciki z wielkiemi kokardami i sprzączkami. To też obejrzawszy mnie kilkakrotnie od stóp do głowy i zawsze widząc tę samą, wytartą czarną suknię, stanęła ze mną na stopie protekcyonalnie pogardliwej.

— Jeżeli ten bachor tak się pani podobał, to proszę go wziąć za syna — mówiła raz do mnie na początku, krzywiąc grube wargi.

Nie miałam wówczas ani grosza. Cały miesiąc musiałam czekać na pensyę z telegrafu i od inżeniera. Obiady nawet i herbatę brałam na kredyt z bufetu kolejowego, o czem naturalnie Piotrowski wiedział doskonale.

— Pani Piotrowska — mówię raz do niej — proszę popatrzeć, jak dziecko okrutnie leży.

— Moja pani, proszę już mnie nie uczyć, jak trzeba je niańczyć. Niech pani lepiej pilnuje swojej własnej pościeli. Kiedy taka delikatna osoba może sypiać na sienniku, pod wypełzłą kołdrą, to i bachor chałaciarki lepszego posłania nie potrzebuje. Chciałabym wiedzieć, jakby to jego rodzona matka układała? Czy nie na pierzynach? Ale ona pozbyła się swoich pierzyn żydowskich jeszcze przedtem, zanim tu przybyła ze swym zatłuczonym żydem. Już pewnie nie bez przyczyny bili szelmę w tym tam N. Uciekli stamtąd, tchórze, jak to zasze żydy, ale i on sam tu na stacyi umarł i bety swoje po drodze gdzieś roztrzęśli. Nie byłoby na czem układać bachora, możeby i takiego nawet siennika nie miał i przewracał się gdzieś na starych szmatach, co matka kupowała. Toż czemu zła pościel dla jakiegoś Moska lub Lejbusia? Zresztą kup mu pani becik na nowem pierzu po dwa ruble za funt, to go położę tak jak swego Antka. Ja już będę o Antosiu pamiętać, a pani myśl o swoim faworycie, to żadnemu krzywdy nie będzie.

Nie mogłam się oburzyć, potrafiłam się wstrzymać i nie przyzywać tych impertynencyj, bo biedactwo krzyczało w niebogłosy, obracane i okrywane gwałtownie w tej chwili przez swą opiekunkę. Bałam się, że przez złość na mnie zacznie się znęcać nad dzieckiem.

Powiedziałam więc jak można najgrzeczniej:

— Kochana pani Piotrowska, nie gniewam się za to, co mówicie, ale i wy się na mnie nie gniewajcie, ja tylko żałuję sieroty; jesteście przecie katoliczką (musiałam powiedzieć katoliczką, a nie chrześcianką, bo tego by nie zrozumiała), toć matka jego u was w domu umarła, mówicie sami, że tak ręce składała i pokazywała na niego, a na was patrzyła tak żałośnie, jakby prosiła bądźcie dlań litościwi. Sami opowiadacie, że już mówić nie mogła, bo język jej

sarstwa podupadł skutkiem niesumienności agentów-pośredników, którzy biorą za swe usługi po 15%. Dalej bednarze skarżą się na brak drzewa dobrego, najlepszy bowiem materyał pochłania zagranica. Dla zaradzenia złemu (według referatu), byłoby pożądanem, aby dostawy rządowe powierzano tylko ludziom fachowym oraz sprzedawano im drzewo z lasów rządowych. Referat zachęca rzemieślników do łączenia się, do zwalczania konkurencyi wspólnemi siłami i zaleca założenie składu hurtowego materyałów surowych. Podobno istnieje już i rozwija się pomyślnie spółka stolarzy dla zakupu materyału surowego i wyrobów. Otóż mogłaby ona zapewne porozumieć się z bednarzami i dopuścić ich do uczestnictwa.

ELEWATORY.

W ostatnich czasach w dziedzinie przemysłu zbożowego żywe budzą zainteresowanie elewatory, które mają znacznie wpłynąć na rozwój prawidłowy tej gałęzi produkcyi. Towarzystwo kolei Południowo-Zachodnich zamierza wybudować taki elewator w Odesie kosztem 5,000 rs., który będzie mógł pomieścić nie więcej nad 16,000 czetw. zboża. Jest to prawie niczem dla handlu wywozowego tego miasta, dosięgającego przeciętnie 12 milionów czetw. rocznie. Elewator ten jednak, przy zastosowaniu rozmaitych ulepszeń technicznych, mógłby podobno oczyścić 8 milionów pudów zboża rocznie przy pracy ośmiu godzin dziennie; opłacić się zaś może całkowicie przy oczyszczaniu tylko 3,500 pudów. *Nowoje Wremia*, notując ten szczegół, wnosi, iż dla zbudowania większej liczby elewatorów w Rosyi nie potrzeba wcale, jak chcą niektórzy, dodatkowych opłat od zboża wywożonego za granicę. Elewatory prywatne, przy umiejętnej administracyi, mogą dawać zyski nietylko właścicielom elewatorów, lecz także rolnikom, którzy za zboże oczyszczone będą brali ceny lepsze niż dotychczas. Nadto elewatory wprowadzą do handlu zbożowego uczciwość i usuną nadużycia.

Projekt Towarzystwa dróg południowo-zachodnich wywołał już wielkie wzburzenie pośród przedsiębiorców zbożowych. Ziemstwa chersońskie i ekaterynosławskie wysłały delegatów do Petersburga dla przeciwdziałania projektowi. Nie życzą one pojedynczych, ulepszonych elewatorów. Należy także się spodziewać protestu ze strony posiadaczy drobnych magazynów zbożowych w Odesie, które są wydzierżawiane nie inaczej, jak na terminy roczne i po cenach niezmiernie wygórowanych. Każdy sążeń kwadratowy takiego magazynu przynosi ich właścicielom 36 rs. rocznie zysku.

BADANIA NAUKOWE.

„MATERYALISTYCZNE“ POJMOWANIE DZIEJÓW LUDZKOŚCI.

Jak w każdej dziedzinie przyrody, podobnie i w życiu społecznem spotykamy mnóstwo najróżnorodniejszych objawów. Pojęcia etyczne, prawne, religijne, instytucye rządu, rodziny i własności itd. występują na pierwszy rzut oka, jako niezależne od siebie zjawiska i tem samem rozwijają się niby w zupełnej od siebie niezawisłości. Nic naturalniejszego, że ten lub ów, przystępując do studyów socyologicznych, zatrzymuje swą uwagę na jakimś szczególnym zakresie życia społecznego i bada go w oderwaniu od reszty. Lecz bliższe wejrzenie w rzecz wykazuje całą wadliwość podobnego postępowania. Pojedyncze bowiem dziedziny zjawisk społecznych znajdują się we wzajemnej zależności i rozpatrywanie jakiejś jednej bez uwzględnienia związku jej z innemi musi koniecznie wpłynąć ujemnie na doniosłość badań. Przytem, w ciągu dalszym, nasuwa się jeszcze jedno pytanie, mianowicie: czy nie możnaby pewnym objawom życia społecznego wyznaczyć roli pierwszorzędnej, kształtującej inne strony? W ten sposób powstała teorya „organizmu społecznego,“ która usiłowała przedstawić rozwój społeczny jako proces wzrostu, zależność zaś różnych urządzeń i władz sprowadzić do odpowiedniości ze związkiem pomiędzy pojedynczemi częściami jestestwa zwierzęcego. Doktrynę tę, korzystając z ukazywania się w języku polskim *Socyologii* Spencera, rozbierzemy szczegółowo w niedalekiej przyszłości. Obecnie zaś zwrócimy uwagę na inną szkolę socyologiczną, która chociażby dlatego zasługuje na bliższą znajomość, ponieważ przedstawia najlepiej powiązane wyjaśnienie rozwoju społecznego i wyrugowywa z socyologii inne poglądy. Nie związała się ona z jakiemś pojedynczem nazwiskiem; przeciwnie, jej podstawy skreślone zostały przez kilku badaczów i do tego w obrębie odmiennych zjawisk społecznych. Zwykle zwą ją „naturalistyczną“ i jeszcze częściej „materyalistyczną,“ gdyż to ostatnie miano przywłaszczył sobie jeden z odłamów najbardziej świadomych tego kierunku, chociaż uczynił to bardzo nieszczęśliwie. „Materyalistyczne“ pojmowanie dziejów społecznych, dzięki wspólnej nazwie, bezustannie mięszają z materyalizmem filozoficznym, jakkolwiek oba te pojęcia mogą być najzupełniej od siebie niezależne. Istota bowiem wspomnianego tylko co prądu w socyologii polega przedewszystkiem na tem, że przedstawiciele jego usuwają świadomość ludzką z czynników, powodujących ukazanie się tej lub innej postaci urządzeń społecznych. Istnieje w ich rozumieniu pewne podobieństwo pomiędzy gromadzeniem wiedzy a powstawaniem form pożycia społecznego. Umysł najgenialniejszy, bez zapłodnienia zewnętrznego, napróżno mozoliłby się nad zdobyciem dalszej znajomości wszechświata. Ku temu posiadamy jedyną drogę—czynienia spostrzeżeń. Podobnie i w życiu społecznem istota ludzka jest ograniczona w swej potędze wytwarzania ideałów społecznych i wszystkie najśmielsze utopie są tylko nieświadomem zestawieniem i uogólnieniem istniejących już w życiu pierwiastków. Tu szkoła „materyalistyczna“ staje w jaskrawem przeciwieństwie do racyonalizmu społecznego, wyznaczającego celowej myśli ludzkiej pierwszorzędne znaczenie w wyrabianiu nowych stosunków i urządzeń. Dla unaocznienia różnicy pomiędzy temi dwiema doktrynami, rozbierzemy powstanie uczucia wstydliwości. W tym względzie pójdziemy drogą, utorowaną już przez Lipperta. Racyonalizm, zgodnie z uważaniem pobudki podmiotowej za pierwszorzędną i podstawową, patrzy na wstydliwość jako na następstwo rozwoju umysłowego istoty ludzkiej; w jego przekonaniu, odzież zjawiła się już jako dalszy wynik poczęcia się u człowieka uczucia wstydu wobec nagości własnego ciała. Kierunek ten, o ile nie sprzeniewierza się swym własnym założeniom, wyjaśnia okoliczność, iż plemiona dzikie nie przykrywają ciała, głównie brakiem odpowiednich idej i stanów podmiotowych. Lecz nawet szczupła znajomość z rzeczywistością w niwecz obraca ten naiwny pogląd. Mocno omyliłby się, ktoby sądził, iż u ludów pierwotnych istnieje jakiekolwiek uczucie wstydu przed ukazaniem się odzieży. Lippert mnóstwem przykładów udawadnia ten fakt, że człowiek pierwotny uczuwa tylko wtedy sromotę, kiedy potrzebuje wystąpić na widok publiczny bez przynależnej ozdoby, i jedynie dlatego, że jej nie przywdział. U kobiet w Nowej Zelandyi

---

odjęło, a tylko ręce wyciągała i łzy jej gradem ciekły, a twarz czerniała, czerniała, aż umarła... Toż wy wiecie, czego dziecku potrzeba, wiecie, jak hodować, jak pielęgnować waszego Antka, miejcież choć troszkę litości dla tej dzieciny.

— Ale moja pani, bój się też Boga, jakże to można porównywać poczciwych rodziców dziecko, z żydowskim bachorem! Już i ja nie rozbójniczka, wszak ci go nie zabijam, nie smażę na wolnym ogniu. A cackać się z tym małym nie myślę, i pani to powiem, że nie wasza to rzecz i niema potrzeby głowy mi kotłować. A jeśli ten bachor tak już pani miły, to bierz go sobie za syna, osyp złotem i wychowaj na księcia. Cha, cha, cha... a nie bierzesz, to daj mi święty pokój!

I znowu musiałam odejść! I potem, mój Boże, jeszcze kilkanaście męczących, bezsennych nocy. Jeszcze to widmo młodej żydówki, czołgającej się z niemą prośbą, ze zczerniałą od bólu śmierci i rozpaczy twarzą. To niemowlę miesięczne, na starych szmatach leżące, któremi handlowała matka, aby je wykarmić. Nieszczęśliwa kobieta snuła się tu w suchotach, z węzłami i dzieciną na ręku, bo ginęła z głodu, w obcej mieścinie a raczej stacyi tylko kolejowej, gdzie nawet żadnego żyda niema, do którego śmielej mogłaby się odwołać. Tu niespodziewanie los ją zapędził i tu też niespodziewanie zemrzeć musiała. Czołgała się, błagała, modliła zwęglonemi oczyma, aż do ostatniej chwili. Nareszcie przytuliła głowę do kwilącej na ziemi dzieciny i — umarła.

Maleństwo zostało w takiem ręku, zostało nawet dzięki jedynie księdzu, sprowadzonemu wtenczas przez Piotrowskich z pobliskiego miasta dla ochrzczenia chorego ich Antka. Ten, pragnąc przyłączyć jeszcze jedną wierną duszę do swojego stada, ochrzcił jednocześnie i kilkotygodniowe żydziątko; poradził też, a raczej nakazał Piotrowskim trzymać go w domu do lat siedmiu, potem zaś oddać do jakiego rzemiosła, coby im ręce rozwiązało.

— Za dobry wasz uczynek — powiedział ksiądz przy pożegnaniu — Pan Bóg stokrotnie was wynagrodzi i obiecał przysyłać trochę grosza dla dziecka.

Rzeczywiście, od czasu do czasu przychodziło po trzy ruble na wyłączny użytek — Antka. Żydziątko dostawało tylko parę filiżanek mleka od własnej krowy Piotrowskich i ubierało się w resztki Antkowego ubrania.

. . . .

Czy rozumie pan to szczęście, kiedy, otrzymawszy wczoraj moją pensyę, wleciałam jak szalona do Piotrowskich i mogłam im powiedzieć:

— Kochani państwo, dajcie mi żydziątko na wychowanie! Tyle razy pani Piotrowska mi to proponowała. Ja z księdzem się porozumię, a owe trzy ruble będziecie nadal ode mnie otrzymywali na pamiątkę dla Antka za wasz dobry uczynek. Odnajmuję u was i drugi pokoik od ulicy i zamawiam też sobie mleko od waszej krowy.

Piotrowscy próbowali się certować, ale pieniądze naprzód wtykane za mieszkanie, mleko i na sukienkę Antkowi, usunęły przeszkody.

Żydziątko moje!

Mój śliczny, mój blady, mój czarnooki aniołku! Czy wiesz ty, że każdy twój uśmiech, pieszczota, kogoś rozraduje, że każda twa łezka kogoś zasmuci, że „mama“ cię pieścić będzie, „mama“ będzie tulić! Pościółkę zawsze mieć będziesz czystą i miękką, i ciepłą, sen błogi i cichy. A jak my będziem swawolić, a jak mi zaśpiewasz swoim srebrnym głosikiem:

— A ghuu, a ghii...

Janina B. de C.

istniał zwyczaj tatuowania ust kilku punkcikami; o osobie, któraby tego nie uczyniła, powiedzianoby, że „posiada wargi czerwone,“ takiemu zaś orzeczeniu towarzyszyłoby podobne uczucie, jak w Europie na widok nago spacerującego człowieka. U fellahów Egiptu zauważono, że kobiety bez wstydu ukazują się nago, byleby tylko z zakrytem obliczem, podobnie jak u nas na wieczorach w „towarzystwie“ z półobnażonemi piersiami, lecz natomiast w rękawiczkach na ręku. Uczyniono spostrzeżenie, że u ludów pierwotnych, wbrew oczekiwaniom, „przyzwoitość“ jest więcej rozwiniętą (tj. rozciągniętą na liczniejsze okolice ciała) u mężczyzn, aniżeli u kobiet, co zgadza się w zupełności z tym faktem, że na owym szczeblu rozwoju płeć męzka więcej dba o przyozdabianie (tj. przykrywanie) ciała, aniżeli żeńska. Wogóle mnóstwo danych wykazuje, że nie zawsze człowiek pierwotny wstydzi się nagoty tych części ciała, które w rozumieniu naszem uchodzą za sromotne, ale raczej tutaj zalicza tylko te, które zwyczaj każe przyozdabiać. Jednem z miejsc wybranych dla zawieszania różnych ozdób jest pas, przechodzący przez biodra, z zrozumiałego powodu, ponieważ idąca poniżej wypukłość ciała nie pozwala ześlizgać się przepasce. Z czasem sznur taki u jednych ludów przeinaczał się zwolna w tunikę, fartuch itd.; zwyczaj uświęcał powstającą ozdobę i jednocześnie zradzał uczucie wstydliwości, jeśli wypadało ukazać się osobom obcym bez takiego pokrycia. Nie poszukując dowodów daleko, możemy przypomnieć jeszcze raz czytelnikowi to uczucie wstydu, czy też niezręczności, jakiego doznają niektóre osoby, kiedy znajdują się w tak zwanem „towarzystwie“ bez rękawiczek, chociaż goła ręka uchodzi w codziennem życiu za rzecz jaknajprzyzwoitszą. Słowem, wstydliwość ukazuje się w granicach zakreślonych przykryciem — naprzód jego uczucie nieprzyjemne z powodu nieposiadania tego ostatniego i dopiero w dalszym ciągu jako sromanie się z obnażenia ciała. A zatem samo to uczucie byłoby zjawiskiem wtórnem, pochodzącem z uprzedniego istnienia pewnych stosunków „materyalnych,“ tj. nie podmiotowej, lecz przedmiotowej natury. Nie dlatego człowiek zaczął okrywać swe ciało, że posiadał jakieś uczucia wstydliwe, lecz przeciwnie, ponieważ w zwyczaj weszło przykrywanie pewnych okolic, przeto ukazały się odpowiednie stany podmiotowe.

Powyższy przykład, sądzimy, uwydatnił różnicę pomiędzy racyonalistycznem a „materyalistycznem“ pojmowaniem rozwoju społecznego. Według tego ostatniego, różne popędy moralne, poglądy prawne itd. ukazują się dopiero w następstwie istnienia odpowiednich stanów przedmiotowych. Naturalnie, jakieś uczucie wstydu, raz ukazawszy się, może ze swej strony oddziaływać na dalszy rozwój społeczny. Jednakże wywierane w tej mierze wpływy bywają szczególnej natury, którą uzmysłowimy znowu na przykładzie — z innej dziedziny, aby nie posądzono nas, iż obracamy się w kółku jednakich zjawisk. Otóż u wszystkich ludów pierwotnych istnieje zwyczaj kładzenia ze zmarłym do grobu całego mienia osobistego, które zresztą składa się z jakiegoś oręża drewnianego lub krzemiennego, kilku ozdób itd. Tymczasem, w biegu rozwoju technicznego, bogactwo jednostki wzrasta. Zostaje np. oswojonem jakieś zwierzę, ukazuje się jakaś dużo pracy potrzebująca broń itd. Powyższy zwyczaj wywiera wtedy wpływ bardzo nieprzyjazny, gdyż, pochłaniając cały dorobek indywidualnych zabiegów, uniemożliwia gromadzenie mienia i zasobów materyalnych na przyszłość i, co za tem idzie, dalszy rozwój społeczny. Ród ludzki znajdował wyjście w zmianie obowiązków względem zmarłego, lecz dopiero po krótszym lub dłuższym okresie. W ten sposób, wysnute na podstawie z staroczesnych warunków bytu zwyczaje, mimo całej wtórności swego początku, odgrywają w rozwoju dalszym społeczeństwa niektórą rolę, lecz ta ostatnia nigdy nie jest twórczej natury. Są to raczej hamulce, powstrzymujące nastanie nowych warunków bytu i tem samem nowych zwyczajów. Przypada im zadanie zachowawcze, wówczas gdy przedmiotowym stosunkom należy się rola przewrotowa. Że tak może dziać się w rzeczy samej, podamy bardzo wymowne zdarzenie. Czerwonoskórzy Ameryki północnej utrzymywali się z myśliwstwa. Cała osada wychodziła zbiorowo na polowanie. Używana broń, łuk i strzała, była tego rodzaju, iż umożliwiała w zupełności rozróżnienie, od czyjej ręki padła określona sztuka zwierzyny. Podział też łupów polowania odbywał się według zasady indywidualnej, mianowicie każdy brał co zabił. Lecz oto ukazuje się broń palna. Kula nie nosi w sobie podobnego piętna indywidualności, jak strzała z łuku. Dawna zasada dzielenia się łupami zbiorowego polowania napotyka nieprzejednaną zawadę. Zgodnie z tem wyłania się inne. Zabitą zwierzynę przynosi się do osady i uważa za własność zbiorową, którą się dzieli następnie pomiędzy oddzielne rodziny stosownie do potrzeb każdej (tj. ilości żołądków). W ten sposób zmiana oręża myśliwskiego wywołała inną zasadę podziału — zamiast zasług osobistych, mamy komunizm potrzeb. Podobnych przykładów moglibyśmy przytoczyć mnóstwo. W rezultacie tego otrzymalibyśmy tę prawdę, że każdorazowy całokształt przedmiotowych warunków bytu (np. istnienie określonych źródeł zdobywania pokarmów, używanie stosownych narzędzi i metod produkcyi itd.) wywołuje odpowiednie ukształtowanie w sferach uczuciowej, zwyczajowej, moralnej, prawnej, filozoficznej. Te różne zjawiska są nawskroś natury wtórnej, tj. odzwierciedlają jedynie stosunki rzeczowe i w miarę przekształcania się tych ostatnich, same podlegają też odpowiednim zmianom. Słowem, mamy przed sobą dwojakiego rodzaju pierwiastki ewolucyi społecznej, jedne — czynne, wywołujące nastanie nowych urządzeń, inne — bierne, ukazujące się w następstwie pierwszych i w rozwoju odgrywające jedynie rolę powściągów, zwłaszcza jeżeli otrzymają jeszcze znamię religijnego pomazania.

Skreśliliśmy główne założenia szkoły „materyalistycznego“ pojmowania dziejów. Naturalnie, nie szło nam o jakieś szczegółowe przedstawienie poglądów, gdyż to nadmiernie rozciągnęłoby ramy naszego artykułu, ani też o uzasadnienie systematyczne głównych nawet punktów wyjścia. Usiłowaliśmy jedynie, na podstawie kilku faktów, przekonać czytelnika, że w samej rzeczy może istnieć wskazana zależność pomiędzy rozwojem przedmiotowych warunków bytu społecznego a rozmaitemi urządzeniami politycznemi, zwyczajowemi, własnościowemi itp. Rozumie się, nie należy zapominać o tem, że gdzieś w głębi, wśród czynników rozwoju, tkwią jeszcze właściwości natury ludzkiej. Człowiek bowiem spostrzega korzyści z użycia nowego rodzaju broni, oswojenia zwierzęcia, zawiązania stosunków wymiennych i wciela te ostatnie w życie. Że „przypadek“ daje mu do ręki pierwiastki tych nowych stanów bez uprzednich wysiłków i poszukiwań z jego strony, sprawa ta zgoła nie zmienia postaci rzeczy. Tą drogą ukazują się zmiany jedynie w dziedzinie warunków przedmiotowych: źródeł pożywienia, metod produkcyi, szerokości wymiany itd. Wywołują one odpowiednią ewolucyę w dziedzinie form rządu, rodziny i własności i wyzywają stosowne prawo zwyczajowe, moralne i religijne. W ostateczności, istota ludzka występuje jako sprężyna postępu, lecz w socyologii możemy ją zupełnie wykreślić z pod rozpatrywania, gdyż zgoła nie oddziaływa kształtująco na ukazanie się ustrojów społecznych. Prawdę tę przewybornie możemy uzmysłowić na dziejach organizacyi bojowej. Dosyć rzucić okiem na przeszłość Europy od jakiegoś wieku XV do dnia dzisiejszego. Sposób ustawienia wojsk, organizacya armii, tryb nacierania, słowem cały „ustrój społeczny“ wojska i wojny ulega bezustannej ewolucyi. Strategika bardzo rozsądnie wykazuje, że wszystkie te zmiany zjawiają się w następstwie użycia nowych narzędzi walki. Weźmy pojedynczy przykład. Przed wprowadzeniem kartaczów, wojska szły do bitwy wielkimi zwartymi szeregami. Zbyteczna dowodzić, iż, z ukazaniem się tylko co wspomnianego narzędzia walki, stanowiły one łatwy cel do pocisków. I oto armia, prażona ogniem nieprzyjacielskim, podczas ataku bezwiednie rozpada się na drobniejsze oddziały i, nie tracąc zdolności czynu, zaczyna ponosić mniejsze straty. Równie przed kilku dniami w jednej gazecie (zdaje się *Warszawskiej*) znaleźliśmy wyliczenia głębokich zmian w taktyce wojennej, gdyby zastosowano zamiast prochu materyał wybuchowy, niedający dymu.

Cóż za tem widzimy? Istota ludzka wynajduje ulepszoną broń (jak do tego ona doszła, nie będziemy się zajmowali); nowe te narzędzia a raczej metody przenoszenia ludzi do nicości sprowadzają odpowiednią zmianę w szyku „społecznym“ wojska, która może zostać wcieloną w życie żywiołowo i bezwiednie przez masy walczące i to wbrew rozkazom panów strategików, jak tyralierka, to znowu w pewnym stopniu być przewidzianą przez nich, jak naprzykład następstwa zastosowania „prochu bez dymu.“ Lecz w każdym razie, rozpatrując rozwój strategiki bojowej, możemy umysł ludzki usunąć z pod rozbioru i rozpatrywać samą sprawę jako następstwo odpowiedniej zmiany w metodach i orężach walczenia. W zastosowaniu do różnych grup rodu ludzkiego, należałoby uwzględnić jeszcze naturę rasową i antropologiczną człowieka, która raz umożliwia szybsze pojęcie wskazówek, to znowu czyni ewolucyę powolniejszą, lecz widoczna, że czynnik ten odbija się tylko na prędkości rozwoju, ale nie wpływa na ukazujące się formy. Właśnie podobną rolę odgrywa ewolucya przedmiotowych stosunków w rozwoju społecznym, i usunięcie człowieka z pod rozpatrzenia, jakkolwiek na pierwszy rzut oka może wydać się dziwnem, znajduje dla siebie najzupełniejsze usprawiedliwienie.

Na podstawie powyższych wywodów możemy też pojąć, że próby uszeregowania różnych ustrojów i urządzeń społecznych według skali warunków przedmiotowych nie koniecznie wypada uważać za próbę chybioną, lecz że przeciwnie opierają się na dostatecznie usprawiedliwionem założeniu. Moglibyśmy odwołać się do Lipperta, który wykazał, że dzieje rodziny są niczem innem, jak tylko odbiciem tych lub innych źródeł pożywienia i sposobów zarobkowania; Maurera, który dowiódł, że cała ewolucya średniowiecznej ustawy prawno-politycznej odbywała się pod wpływem powstawania nowych metod produkcyi i wymiany; Zibera, który znowu uzasadnił ścisły związek pomiędzy obowiązującem prawem i formami własności a tymi samymi stosunkami przedmiotowymi, itd. itd. Jak wiadomo, Morgan usiłował zastosować tę samą zasadę do całego przebiegu dziejów ludzkości. Na tem założeniu opiera się jego podział na stan dziki, barbarzyński i cywilizacyę. Można się spierać, czy wytknięte przezeń drogowskazy dla odróżnienia jednej epoki od drugiej są wystarczająco ważne, lecz jest to pytanie drugorzędnej już wagi wobec samej zasady — znaczenia warunków przedmiotowych. W podobny sposób, strategika mogłaby uszeregować różne stany „społeczne“ walki według używanych oręży.

Jeszcze raz wspominamy, że nie szło nam o dokładne skreślenie „materyalistycznego“ pojmowania dziejów — z wymienionych już powodów. Tem samem musieliśmy ograniczyć się do wyłożenia punktów zasadniczych.

Lud. Krz.

EPIDEMIE SZTUCZNE.

Nieraz podczas lata daje się zauważyć, jak na zwłokach muchy, która wpadła do wody, powstaje coś nakształt pleśni, rozchodzącej się promienisto od ciała owadu pod postacią delikatnych, prawie przezroczystych niteczek (strzępki). Badając je pod szkłem powiększającem, widzimy, iż są one wielorako rozwidlone, a na wierzchołku niektórych rozgałęzień tworzą się drobniutkie owalne kuleczki w formie perełek, nanizanych obok siebie w jeden rząd podłużny. Opuszczając po kolei nić macierzystą, kulki te a raczej zarodniki (takie jest bowiem miano naukowe) pływają po wodzie, a odnalazłszy inną martwą muchę lub wogóle zwłoki jakiegokolwiekbądź owadu, osiadają na nim, aby w nową się pleśń rozrosnąć. Szkicowo tu zaledwie opisana pleśń owa stanowi pewien gatunek grzybka, zwanego *roztoczką*, karmi się bowiem sokami owadu, tocząc zwolna martwe już ciało jego. Ze względu więc na sposób życia jest to jeden z tych ustrojów, które oznaczamy ogólnem mianem roztoczy. Ale znamy też i takie grzybki, które się zakradają do wnętrza organizmu jeszcze za jego życia, sprowadzając mniej lub więcej wczesną śmierć jego. Do liczby ich np. należy *empuza*, pasorzytująca na muchach a opisana po raz pierwszy jeszcze w r. 1865 przez Cohna. Zarażony nią owad ginie w krótkim czasie a wtedy przez jego odwłok wydostają się na zewnątrz prosto ku górze sterczące nitki tego grzybka. Na końcu ich powstają zgrubienia kuliste, noszące miano zarodni. Otóż wypełniająca je substancya protoplazmatyczna wkrótce się rozpada na wielką ilość drobnych zarodników, które po pęknięciu ścianek zarodni wyskakują z niej a trafiwszy na przelatującą obok muchę, czepiają się jej ciała dzięki wilgotnej i lepkiej swej powierzchni. Przebiwszy następnie skórę swej ofiary, zarodnik szybko się pod nią rozrasta, dając początek licznym bardzo komórkom, które, roznoszone prądem krwi po całem ciele, w takiej się nagromadzają obfitości, że formalnie zostaje niemi wypełniona jama ciała. Po zupełnem stoczeniu wszystkich prawie organów, grzybek ten, jak wyżej rzekliśmy, wysyła na zewnątrz przez odwłok owadu swe strzępki, na których świeże powstają zarodniki, prowadząc dalej dzieło zniszczenia*). Mamy tu więc do czynienia z groźną chorobą zaraźliwą, która nakształt epidemij, grasujących śród rodu ludzkiego, przyprawić może o zgubę tysiące nieraz much. Dodać należy, iż niemoc podobnego rodzaju dotyka i inne gatunki owadów.

Otóż jeden z francuskich uczonych Karol Brongniart wpadł na myśl, czyby się nie udało sztucznie zarażać owady szkodliwe zarodnikami grzybków pasorzytnych i złożył w tej kwestyi pracę przed paryską Akademią nauk.

W okolicach Bézu-Saint-Eloi (dep. Eure) zauważył on wiele osobników szarańczy, zarażonych grzybkiem, należącym do tej samej grupy co wspomniana wyżej *empuza* **). Przebieg choroby, jaką on wywołuje, jest szybki, śmierć zaś nieuniknioną. Jakoż owad dotknięty zarazą staje się z początku bardzo ociężałym, łażąc z wielkim mozołem po roślinach, na których przemieszkuje i któremi się żywi a już po 24 godzinach sztywnieje, zdradzając widoczne objawy śmierci.

Zabójczy ten grzybek produkuje dwojakiego rodzaju zarodniki: jedne z nich tworzą się zewnątrz, inne zaś wewnątrz organizmu*), przyczem te ostatnie odznaczają się długotrwałością, albowiem są zdolne przetrwać całą zimę, a zebrane w lecie lub ku jesieni mogą być użyte jako czynnik zakaźny wiosną roku następnego. Chcąc się przekonać, czy ściśle określony grzybek, znajdywany na pewnym gatunku owadzim może tylko ten ostatni zaatakować, czy też potrafi wywołać zarazę i u innych pokrewnych osobników — Brongniart zrobił kilka dość ciekawych doświadczeń. W tym celu zarodniki grzybka *entomophtora calliphora* (spotykamy go na t. zw. musze mięsnej — *musca vomitoria*) zasiał on na ciele gąsienicy zmrocznika, na osach, pszczołach i na t. zw. robaku mącznym; a chociaż grzybek ulegał pewnym drugorzędnym zreszta zmianom w swej budowie, rezultat mimo to zawsze był śmiertelny dla badanego osobnika.

Otóż mniema B., że możnaby było z łatwością zgromadzić pewną nieznaczną ilość takich zarodników i wysiać je na pospolicie spotykanych owadach, które bez trudu dałyby się zebrać. Gdy te ostatnie zostaną zabite, należałoby je wysuszyć i sproszkować, a potem przenieść na pola uprawne, którym żarłoczność drobnych szkodników grozi zupełnem wyniszczeniem. Masami tutaj rozrzucone, owe zarodniki przylgnęłyby do ciała owadów, sprowadzając gwałtowne śród nich spustoszenia. B. nawołuje nawet gorąco do wznoszenia specyalnych zakładów, gdzie hodowanoby na wielką skalę grzybki najodpowiedniejsze dla celów gospodarczych a następnie sprzedawano rolnikom, by ułatwić im trudną nieraz walkę z niebezpiecznym niszczycielem zasiewów polnych. Gdy projekt ten z dziedziny dowcipnej pomysłowości przejdzie w sferę szerokiego czynu i w ciało się przyobleczе— może on, rzecz jasna, oddać rolnictwu nieobliczone usługi, zabezpieczając je od klęsk dotkliwych. Przypomnijmy sobie tylko te milionowe szkody, jakie od czasu do czasu wyrządzają człowiekowi: szarańcza, gąsienice kapustnika, sławna filoksera, chrząszczyk colorado itp.

Jednocześnie z Brongniartem i prof. Giard (w *Bullet. de la France et de la Belgique*) oraz entomolog francuski Laboullène (w *Bullet. de la Societé entomologique de France*) zwrócili uwagę na wielką korzyść, jakaby się osiągnąć dała ze sztucznego stosowania grzybków pasorzytnych. Rusey nawet już wyprzedzili swych francuskich kolegów, bo za radą Miecznikowa, Krasilszczyk zajął się sztuczną hodowlą zarodników pewnego grzybka (*isaria destructor*), który sieje zniszczenie szczególnie śród chrząszczyków z rodzaju *cleonus*, żerujących bardzo licznie na listkach buraczanych. Działalność Krasilszczyka, datująca się od lat kilku, pomyślnym wieńczoną bywa rezultatem. Brongniart jednakże twierdzi, że *entomophtora* może mieć daleko szersze zastosowanie **).

Tak więc człowiek, który z wzrastającą z dnia na dzień umiejętnością coraz lepiej potrafi chronić siebie od zabójczego wpływu grzybków pasorzytnych — jednocześnie stara się zwrócić ostrze tego zatrutego miecza w stronę swego wroga, by nielitościwie zdziesiątkować jego szeregi.

Bądź co bądź, możność wywoływania takich sztucznych epidemij stać się może w ręku człowieka wielce skuteczną bronią, mającą stokroć doniośléjsze dla niego znaczenie, aniżeli setne wynalazki nowych karabinów, armat i pocisków, którym nieraz poświęcamy zbyt drobiazgowe opisy ze szkodą spraw o wiele dla nas ważniejszych!

Adam Lande.

*) Grzybków podobnych nauka zna bardzo wiele, lecz brak miejsca nie pozwala nam tu o nich się rozpisywać. Ciekawych odsyłamy do popularnego dziełka prof. Bellingera „Ueber die Pilzkrankheiten niederer u. höherer Thiere,“ München 1880 lub do nowszej specyalnej pracy prof. Zopfa „Zur Kentniss der Infectionskrankheiten niederer Thiere u. Pflanzen,“ Halle 1888. Luźne dane czytelnik odnajdzie w „Grzybkach chorobotwórczych“ dr. M. Jakowskiego 1885 i w artykułach popularnych prof. Strasburgera „Zaraza niszcząca kartofle“ itp. (*Wszechświat*, t. IV).

**) Prawdopodobnie jest to gatunek zwany „entomophtora s. empusa Grylli.“

*) Mniemano dawniej, iż nitki, tworzące zarodniki wewnętrzne, stanowią osobny gatunek grzybka, któremu nadano imię „tarichium, zachowując miano „empusa“ dla strzępków, produkujących zarodniki zewnętrzne.

**) Na posiedzeniu paryskiej Akad. nauk (11 lutego b. r.) p. Künckel d'Hérculais, wysłany przez ministra oświaty do Algeryi w celu bliższego zbadania gatunków szarańczy, napastującej tamtejsze zasiewy oraz zwalczenia tej klęski — miał sposobność uwydatnić i stwierdzić badania Krasilszczyka (*Naturaliste*, Marzec 1889).

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE

Stan umysłowy umierających. Francuski badacz Féré zdawał niedawno w paryskiem Towarzystwie biologicznem sprawę ze swych badań nad stanem umysłowym umierających. Przedewszystkiem zaznacza on podniesienie zdolności pamięciowych. Na tego rodzaju fakty wskazywano już przed kilku laty (w r. 1883). Salivas mianowicie spostrzegł niezwykłą działalność pamięci u uratowanych topielców. Osoby takie doznawały dziwnego stanu, kiedy główne wypadki całego życia przesuwały się nadzwyczaj szybko przed ich oczami; u innych wskrzeszenie przeszłości ograniczało się tylko do niektórych zdarzeń, to znów dochodziło do najdrobniejszych szczegółów. Coś podobnego spotyka się i u epileptyków, w ich t. zw. intelektualnej „aurze.“ Féré sądzi, że takie objawy stoją w związku z nagłą zmianą krążenia krwi w mózgu i że one w chwili śmierci nie zawierałyby z tego powodu w sobie nic tak nadzwyczajnego. Oto kilka przykładów. Ktoś umiera z wycieńczenia w następstwie choroby mlecza pacierzowego. Utracił już zupełnie świadomość, gdy nagle, podniecony wstrzyknięciem eteru, podnosi głowę i płynnie poczyna mówić w języku niezrozumiałym. Wreszcie daje znak, że chce coś pisać. Ołówkiem kreśli kilka wierszy po flamandzku. Chory ten pochodził z okolic Antwerpii, lecz zawsze mówił po francusku. Piśmiennie kazał zapłacić dawny dług jednemu brukselczykowi. W drugim przypadku idzie o suchotnika. Podniecony już w ostatniej chwili dawką eteru, odzyskuje świadomość, zwraca się ku żonie i wspomina o drobnym fakcie z przed lat 18. Z tego rodzaju badań Féré wywnioskował, że rozbudzenie pamięci jest faktym normalnym podczas ostatnich chwil życia i że pewne podniecenia sztuczne działają w tym kierunku dodatnio.

Psychologia zmęczenia umysłowego. Znany antropolog angielski, Franciszek Galton, przeprowadził w ostatnich czasach szereg badań nad psychicznymi i fizyologicznymi objawami zmęczenia umysłowego. Czynił to za pomocą rozesłania odpowiednio ułożonych kwestyonaryuszów do kół pedagogicznych. Jedne pytania tyczyły się nauczycieli, inne uczniów. Szło o zbadanie, jaka praca umysłowa, zupełnie dostępna w stanie świeżości, staje się przedewszystkiem trudną lub nawet niemożliwą z nastaniem zmęczenia; następnie o zaznaczenie, czy nadmierna praca umysłowa wywoływała kiedykolwiek chorobę trwającą dłużej, niż miesiąc a zmuszającą do porzucenia wszelkich tego rodzaju zajęć; wreszcie czy istnieją jakieś oznaki przedwstępne zbliżającego się zmęczenia umysłowego, odmienne od zjawisk zwykłego, fizycznego. W rezultacie poszukiwań okazało się, że występująca wskutek zmęczenia niezdolność do wysiłków umysłowych obejmuje odmienne przedmioty u różnych osób. Jednakże, w większości wypadków nauki matematyczne pierwsze stają się ofiarą. „Nawskróś mechaniczne zadania arytmetyki są dla

mnie niemożliwemi w końcu dnia, kiedy szczególnie jestem zawalony pracą w szkole,“ brzmi odpowiedź jednego nauczyciela. Następnie idzie tłomaczenie z obcych języków. „Utraciłem zdolność porozumiewania się w języku niemieckim podczas zmęczenia, jakkolwiek w warunkach zwykłych mówię nim bez wysiłków.“ W ciągu dalszym pojawia się nieudolność pojęcia czegokolwiek i zupełny upadek energii. Oznaki fizyczne zmęczenia umysłowego są niemniej pouczające. Z wzrastającem zmęczeniem umysłowem, wzmaga się konieczność ruchów mięśniowych: poruszeń członków, marszczenia twarzy, opadania powieki aż do śmiechu nerwowego i tańca św. Wita. W piśmie uwidocznia się niedbałość; dochodzi do tego, iż pióro formalnie wyskakuje z rąk. W mowie spotykamy się z bełkotaniem lub podstawieniem jednych słów zamiast drugich. Zjawiają się bóle głowy rozmaitej siły, chłód w nogach, dreszcze, bezsenność, mówienie we śnie aż do somnambulizmu. „Przed kilku tygodniami jeden z moich krewniaków gorliwie przygotowywał się do szkoły urzędowej. Nocą zbudził się, siedząc ubrany przy stoliku i zapalonym gazie, z niezgrabnymi rysunkami słonia i kilku innych zwierząt, tylko co ukończonymi. Atrament był jeszcze mokrym. Nic nie pamiętał, co było przed przebudzeniem.“ Należy dodać do tego niezwykłą popędliwość i nerwowość, już osłabienie zmysłów, już chorobliwe podrażnienie. „Posiadam słuch niezmiernie czujny; mniemam, że pierwszą oznaką zmęczenia jest fakt, że głuchnę.“ „Po kilku godzinach pracy ciężkiej i bez przerwy straciłam zdolność odróżniania barw, którą odzyskałam dopiero po pewnym spoczynku.“ Zwłaszcza liczne są zakłócenia zmysłu wzrokowego. Z powyższymi objawami łączy się zawsze stępienie pamięci. Co do chorób, wywołanych zmęczeniem umysłowem, w odpowiedziach znalazło się mało wskazówek. Ostatecznie, Galton z zestawienia otrzymanych faktów doszedł do wniosków następujących: objawy zmęczenia fizycznego a umysłowego są bardzo do siebie podobne, lecz bywają odmiennemi w swych skutkach. Po pierwszem człowiek czuje potrzebę snu, tymczasem gdy ostatnie sprowadza za sobą zawsze bezsenność. Zmęczenie umysłowe bywa częstem u nauczycieli, stosunkowo rzadkiem u uczniów. W ten sposób szkoła (angielska) nie grozi tak wielkiem niebezpieczeństwem; to ostatnie poczyna się dopiero z chwilą różnych egzaminów itd. Zbyteczna nadmieniać, jakiego znaczenia dla pedagogów są tego rodzaju badania. Galton np. między innemi czyni wzmiankę, iż rozkład wykładów możnaby na zasadzie tych wyników przeprowadzić w sposób najmniej uciążliwy, oraz, że zbadane dobrze oznaki zmęczenia mogą służyć za probierz, czy wykłady należy przerwać itd.

LITERATURA I SZTUKA.

OCZEKIWANIA I OBAWY.

I.

Pamiętam pewien zimowy ranek, który zaskoczył mnie w drodze. Gdy poczynający się świt podniósł nieco mroki, spoczywające na białem polu — niebo i ziemia spłynęły w jedną przestrzeń mętną, szarą. Na tle tej nieruchomej szarzyzny widziałem tylko czarne sylwetki trzech koni w ruchu spokojnym, pewnym i przyjaznym, nieco bliżej — wielką plamę: plecy woźnicy, a tuż przy ramieniu dziecięcą, chłopską główkę: przygasłe złoto na jej włosach, wymykających się z pod czapki, było jedyną weselszą barwą w ogólnej szarzyźnie świata. Płynąc tak w przestrzeni owej, byliśmy jednym zgubionym w niej i błędnym punktem, przed którym ślad drogi był zatarty, a cel jej niewidoczny. Przejechaliśmy wieś jakąś, senną jeszcze, spłacającą kilkoma zaledwie światełkami wczesną daninę dziennej pracy, a za ostatnią wsi tej chatą wyrósł nagle koło nas drugi taki punkt zgubiony i błędny, jaki my tworzyliśmy. Była to mała dziewczyna, stąpająca wolno i miarowo obok próżnych sanek, ciągnionych przez małego, chłopskiego konia. Mijając nas, rzuciła mi ona długie wejrzenie, w którem ani ciekawości, ani żadnych uczuć nie wyczytałem, tylko wielką powagę i prostotę. Więc widząc ją tak poważną, tak samotną i tak prostą w pełnieniu jakiegoś obowiązku, który ktoś na niekrzepkie barki jej złożył, poczułem wielki lęk o nią. Dokąd idzie? Czy zimny powiew świtu nie zmrozi jej życia, czy wilki jej nie poszarpią! Modliłem się, by brzask słoneczny jaknajprędzej spadł na jej drogę, ciepłych tchnień przyniósł z sobą nieco — i wilki odstraszył. A gdym ją stracił z oczu, poczęła nagle w myśli mej wyrastać i stała się tak olbrzymią, że wszystkie jej siostry i wszyscy bracia z obrazu jej spojrzeli ku mnie z prostotą poważną. Wtedy — niby oddech gorącego wiatru— spłynęła na myśl moją świadomość ukochania, przed obrazem tym — jak wotum — tęskną ręką zawieszonego, a wraz z nią spłynęły roje nadziei i dymy obaw — wielu, wielu!

Snują się one w myślach wszystkich, którzy z utęsknieniem czekają, by ktoś wreszcie pojął piękno tego obrazu, dla którego symbol znalazłem w dziewczynie, napotkanej w szarej przestrzeni — świtem wytworzonej, i by dłonią talentu wtłoczył obraz ten w ramy powieściowe. Czy jednak oczekiwania te są oparte na gruncie realnym? Czy w obrazie ludowego życia tkwi dość piękna — a raczej (o pięknie wątpić nie można) tych ozdóbek dekoracyjnych, które — zdaje się — są niezbędne, by zachęcić malarzy życia do odtwarzania go w powieści, czy w życiu tem są objawy mające interes społeczny lub psychologiczny, czy są one dość nowe, dość nieznane by u ogółu myślącego obudzić ciekawość poznania ich, czy wylewają się w formy stałe na pewien okres i pochwytne dla malarza, czy nie brak życiu temu pierwiastków ruchu i akcyi, niezbędnych w powieści?

Dla poparcia twierdzącej — jeśli nie na dziś, to w czasie najbliższym — odpowiedzi na te pytania znajdziemy dalej fakty materyalne, wpierw zaś pozwolę sobie uzmysłowić wrażenia i wypowiedzieć myśli, które mi się nasuwają, ilekroć zbliżam się do ludu.

Lud wiejski jest jak żywa przyroda, na tle której go widzimy. W obojgu zastanawia nas zdrowie, rozumiejąc pod słowem tem równowagę zewnętrznych objawów życia z wewnętrznym sił zasobem, i pewien brak pośpiechu w wydatkowaniu tych ostatnich, a natomiast dążenie do zaoszczędzenia ich w celach długowieczności. Forma życia w obojgu robi na nas wrażenie nieruchomej, a jest tylko pokryciem dążeń powolnych, lecz nieustannych (w przyrodzie— nieświadomych, a w ludzie na teraz — małoświadomych) — do formy dalekiej i — w subjektywnem mniemaniu naszem — szlachetniejszej. I w obojgu jest potęga tak wielka, że aż nieświadoma siebie i spoglądająca w oczy nasze z dziecięcą prostotą i dobrodusznym uśmiechem. Zbliżenie do ludu — podobnie, jak cicha kontemplacya natury — nie rozwiązuje pytań, będących w morzu ludzkiej myśli skałami, u których fala miota się niespokojnie, lecz zbliżenie to koi niepokój zgorączkowanego umysłu i niekiedy, na chwilę, ukołysze go zupełnie widokiem owej wielkiej siły, biegnącej przed oczami naszemi w przestrzeni historycznej ku dalekim, celowym krańcom. Krańce te owiane są mgłą jeszcze i myśl nasza zupełnie jasnymi zarysów ich uczynić nie może, jednak uświadomiamy je sobie stokroć wyraźniej, niż sama masa ludowa, ku nim dążąca, a ta świadomość w oczach myśli i serc naszych, któremi na chamską rzeszę spoglądamy, dodaje majestatu widokowi jej mozolnych dążeń i usiłowań. Oto pierwiastek wzruszającego piękna w obrazie ludu.

Treści ekonomicznych i społecznych zadań, jakie życie przed chłopem stawia, nie mogę na tem miejscu rozwijać; powiem tylko, że echo ich słyszeć się daje w każdym momencie życia ludu, że niema jednostki w łonie jego, któraby bierną wobec nich zostawała, że, nieuświadomione częstokroć, splatają się ze wszystkiemi pobudkami moralnemi i psychologicznemi działań zarówno jednostkowych, jak gromadzkich. Ich więc nie pominie nigdy artysta, który istotną prawdę z życia ludowego zechce przenieść do powieści.

A dalej — jakież bogactwo tematów do wyzyskania! Odrębne warunki istnienia przywiązujące lud wiejski do ziemi i utrzymujące go w stanie ustawicznej walki z przyrodą, wycisnęły wybitne piętno na fizycznej zarówno, jak psychicznej stronie jednostek i całej masy ludowej; ugruntowane w umysłach chłopskich pojmowanie przyrody, jakoteż właściwy im stopień wiary i przejęcia się kultem religii, są zarówno pobudkami działań zbiorowych, jak i źródłem cierpień i rozkoszy dla jednostek; przekazane tradycyą formy bytu rodzinnego i urabiające się (u nas)— gromadzkiego, ograniczające swobodę jednostek, popychają samodzielnych i namiętnych osobników do oporu i są przyczyną mniej lub więcej dramatycznych starć ich woli z wolą ogółu; obowiązek pracowania, obciążający każdego członka rodziny jest wytworem dziejowym i koniecznością ekonomiczną — targa on niekiedy względy moralne i wstecz biegnie uczuciom rodzinnym*); w tej klasie społecznej, podobnie jak w innych, chór gromadzkich dążeń zmącony bywa pojedynczymi głosami samolubnych zachceń, a jednostki przedsiębiorcze, ambitne i samolubne stawiają interes swój sprzecznie z korzyścią ogółu. Czy mało cech życiowych, odrębnych, a pochwytnych? Czy mało pierwiastków ruchu i akcyi?

Jakież są środki by obfitą treść życia wtłoczyć do powieści? Samo życie nasuwa nam odpowiedź, skupiając w pewnych osobnikach różnorodne cechy klasy, lub tę czy inną z nich potęgując i czyniąc ją w jednej postaci widoczną lub wpływową. Tak samo postępuje życie i z tymi objawami swymi, które wychodzą za zakres ściśle indywidualnego życia, a które w pewnych chwilach — niezwykłych, lecz zupełnie logiką społeczną i psychologiczną usprawiedliwionych — skupiają się, odnajdując dla siebie prosty i pochwytny dla artysty wyraz. Osobniki, które wskazałem, wysuwają się niemal zawsze na widoczne posterunki życiowe, skąd wywierają mniej lub więcej silny wpływ na bieg życia koło nich i są środkowym punktem akcyi życiowej swego otoczenia. Pochwycone i przeniesione do powieści stają się typami i służą, jako osie, koło których okręca się osnowa powieściowa. Brakiem ich w życiu, artysta usprawiedliwić może nieobecność ich w powieści, a wówczas akcyę jej skupić musi u tych momentów gromadzkiego życia, które są zbiorowym wyrazem objawów jego. Gdyby i tych momentów odnaleźć nie można było, wiedzielibyśmy wtedy, że życie ludu (u nas np. skutkiem wielu dziejowych przyczyn) nie ułożyło się jeszcze w formy ustalone, typowe, że zatem można i należy szkicować tylko pojedyncze strony życia i pojedyncze postacie.

*) Temat ten najlepiej, jak sądzę, wyzyskany jest w powieści *Chworaja* ruskiego beletrysty Aleksieja Potiechina.

Powieści ruskich beletrystów*) osnute na tle życia ludowego i w realistycznej literaturze ruskiej stanowiące jedno z najświetniejszych ogniw — a w naszej *Placówka* — stanowią cząstkowy wprawdzie, niemniej materyalny, dowód możliwości odzwierciedlenia w powieści owego arcywspaniałego widoku dziejowej siły, upostaciowanej w chłopie, i dążącej mozolnie ku dalekim, lecz realnym celom. Dowód ten jest cząstkowy, gdyż składają się nań głównie szkice pojedynczych postaci, rozsnuwanie pojedynczych nitek życiowych, chwytanie motywów oderwanych, nieskupiających w sobie echa gwaru uczuć, usiłowań, objawów psychologicznych. Literatura ruska— podobnie, jak nasza — nie rozwiązała dotychczas wielkiego zadania powieści realistycznej, obejmującej te szerokie widnokręgi życia, jakie wskazać usiłowałem wyżej — i nie rozwiązała, być może dlatego, że na krańcach ich mgły jeszcze spoczywa nieco, że coś jeszcze w tych wielkich formach, w jakie wlewa się życie ludu, zostaje otwartem, nieuświadomionem, więc i niepochwytnem. Stąd wypływa usprawiedliwienie i dla naszej literatury, która w odtworzeniu życia ludu napotkała znacznie większe trudności, których przewaga wyraża różnicę dziejowej przeszłości ludu naszego i ruskiego.

Stajemy więc wobec faktu, wyrażającego z jednej strony, że oczekiwania tych, którzy spodziewają się znaleźć w powieści odbicie wielkiej fali ludowego życia — nie są spełnione, z drugiej zaś dającego nadzieję i wskazującego możliwość spełnienia tych oczekiwań, wtedy gdy fala owa wyżłobi sobie koryto stałe i popłynie niem ze świadomością drogi i celów.

Zanim to nastąpi, widzimy, jak to zaznaczyłem już, w swojej zarówno, jak w obcej literaturze usiłowania ujęcia w powieściach lub szkicach obrazów cząstkowych ludowego życia. Usiłowania te są wyrazem kierunku dla myśli i dobrych chęci pewnej cząstki naszego ogółu, która, z uprzedzeń szlacheckich się otrząsnąwszy, radaby innym pokazać w chłopie tego, kogo widzi w nim sama, tj. człowieka uspołecznionego, zdolnego świadomie i rozumnie skojarzyć swe usiłowania ekonomiczne z takiemiż usiłowaniami reszty ogółu, przywiązanego niezmiernie do ziemi i mogącego gorąco ukochać wszystko, co ojczyste. Drogą zaś usprawiedliwienia tych poglądów, za którymi postępują nakazy etyki społecznej i korzyści praktycznej, owa dość jeszcze nieliczna cząstka ogółu zamierza nakłonić społeczeństwo do podania ręki pomocnej ludowi i uzyskania w nim zdrowego i ukształconego wspólnika w pracy społecznej. Otóż — powieść, zdzierająca z ludu łachmany bydlęcej bezmyślności i nieudolności ekonomicznej, któremi oblokła go szlachecczyzna — jest jednym ze środków, wiodących do celu owych usiłowań.

Czytelnikom *Prawdy* nie potrzebuję tłomaczyć, że powieść stać się może dźwignią, w celach praktycznych użyć się dającą, wtedy tylko, gdy ukutą jest z faktów realnych, niefałszowanych, nienaciąganych do miary — tendencyą zakreślonej, nieprzegryzionych rdzą romantyczną.

Czy mało czuliśmy wstrętu i obrzydzenia, gdy nam kazano patrzeć na mary, wylęgłe w miękich mózgach twórców ludowych melodramatów, przybrane w odzienia chłopskie i pląsające, jak figurki w szopce, na deskach scenicznych? Czy mało łez, śmiechem wyciśniętych, wylaliśmy nad kłamliwemi, aż do komizmu, Oksanami, Ulanami, Jarynami, Hankami i innemi poetycznie przezwanemi urojeniami naszych romantyków? Te melodramaty i te powieści nie dla jednego myślącego człowieka były zmorą, udręczeniem, bólem. Drogo kupiliśmy to doświadczenie, że tylko prawda realna zbliżyć może cel, jaki wskazałem już, lecz i ta cena powstrzymać nie może ręki, która na rozbudzony zaledwie w świtaniu realizmu demokratyczny kierunek naszej powieści — rzuca ciężkie płachty mistycyzmu i oplątuje go powijakami ideologii. Odpowiedzialność wobec tych, którzy posiew idei naszych zbierać będą, stanie się tem większą, im potężniejszą była dłoń talentu, która przygniotła wzrastający kwiat demokratycznej powieści.

F. G. Brodowski.

*) Aleksiej Potiechin, Gleb Uspieńskij, a dalej Reszotnikow, Wołogdin, Złatowratskij. U Gogola typy ludowe wikłają się w siatce romantycznej. Sylwetki realne i żyjące znajdujemy u Turgieniewa. Wyczerpujących wskazówek na tem miejscu dać nie mogę.

Z NIEMIEC.

14 kwietnia.

W setną rocznicę urodzin Schopenhauera. — Rozprawy Jerzego Giżyckiego i hr. Foucher de Careil.— Wallotha „Dämon des Neides." — Landa „Stiefkinder der Gesellschaft." — Robertsa „Revanche." — Realizm Maryi Ebner Eschenbach.—Amyntosa „Stahl und Stein." — Perfalla „Justiz der Seele." — Dramat Gottschalla „Maria de Padilla."

Z powodu setnej rocznicy urodzin Artura Schopenhauera, którego zwolennicy zwą „filozofem dziewiętnastego stulecia," wyszły dwie rozprawy, uzupełniające się poniekąd. Bo podczas gdy Jerzy Giżycki na podstawie całego istniejącego dziś materyału biograficznego kreśli obraz życia, a następnie kusi się o przedstawienie charakteru ojca nowoczesnego pesymizmu, to Foucher de Careil bada bez uprzedzenia, ale i bez uniesionej chwalby ów kierunek filozoficzny. Przedmiotowości tej nie możemy przyznać Giżyckiemu, którego praca raczej stanowi obronę tego najzarozumialszego i najpróżniejszego wśród myślicieli nowożytnych. Nie przeczymy, że Schopenhauer miał szczere, prawdziwie filozoficzne upodobanie w prawdzie, że wziąwszy na się zadanie apostolstwa pewnej filozofii, pełnił je wytrwale aż po koniec życia, mimo iż dzieła jego pozostawały nieznane lub doznawały złośliwej krytyki. Z drugiej strony wszakże niepodobna przeoczyć, jak przesadnym kultem otaczał samego siebie. Nieraz używał o sobie słów, podsuwanych Heglowi: „Rzekłbym z Chrystusem: uczę prawdy i jestem prawdą." Trudno zgodzić się na twierdzenie Giżyckiego, że owe przesadne wynoszenie się było skutkiem doznanej niesprawiedliwości. Zanim bowiem miał sposobność doświadczenia jej, Schopenhauer wyrażał się o sobie inaczej, aniżeli filozofowie czynić to zwykli. Oddając do druku dzieło swe *Die Welt als Wille und Vorstellung*, przepowiadał, że będzie ono źródłem dla setek innych.

W późniejszych latach zwykł był mawiać: „Ostatnie sakramenta będą moim chrztem; jak wobec świętych, czekają na śmierć moją, by mnie ukanonizować." Giżycki przyznaje, że Schopenhauer miał prawo tak mówić o sobie. Zależy to od tego, czy w zasadniczym jego poglądzie upatrywać zechcemy istotnie kamień mądrości. Pod tym względem przyłączylibyśmy się raczej do uwag hr. Fouchera de Careil. Etyka Schopenhauera, za przykładem braminów, obrzydza życie i zaleca powrót do nicości. Według Fouchera pesymizm ten, zrodzony w zgniłej atmosferze myślowej, przeciwny wszelkiej czynności twórczej, jest raczej arystokratycznym kwietyzmem, aniżeli zdrowym poglądem na świat. Pesymizm zdrowy również nie wierzy w doskonałość i dobroć ludzką, lecz mimo to czynnie postępuje na drodze poznania i poprawiania rodu człowieczego. Na podstawie krytycyzmu łączy on „Weltschmertz" wschodu z greckim optymizmem, co było obcem Schopenhauerowi. Mimo jednak, iż dzieło jego nie zawiera filozofii prawdziwie zbawczej, spełniła się przepowiednia jego, iż „książka ta będzie jedną z tych, które stają się źródłem dla stu innych." Wiadomo, jak znacznym był wpływ Schopenhauera na tych zwłaszcza filozofów, którzy pisali dla publiczności szerszej, dalej na artystów i poetów. Że wpływ ten dotąd nie jest złamanym, o tem świadczą utwory realistów niemieckich, przesiąknięte pesymizmem. Świeżo ogłoszona powieść jednego z przywódców tej szkoły, Wilhelma Wallotha, już w tytule zdradza swą barwę. W „Demonie zazdrości" analizuje autor straszliwą tę namiętność we wszystkich jej stadyach, aż do chwili, w której rodzi ona czyn krwawy. Z upodobaniem otacza on bohatera postaciami, w których skupia całą głupotę i nikczemność ludzką. Poznajemy muzyka nawpół obłąkanego, który z rozkoszą pozwala się poniewierać niewiernej kochance; biedną nauczycielkę, ulegającą wpływowi nikczemnika, studenta, uwodzącego ją bez wyrzutu sumienia, a potem odstępującego kolegom; dziewczynę nawskróś zmysłową, która uwodziciela swego kochać nie przestaje, a pragnąc uchronić się przed hańbą, popełnia samobójstwo.

Podobne typy zajmują też drugiego przedstawiciela tej szkoły, Landa, który w powieści swej „Stiefkinder der Gesellschaft" zebrał niemniej smutną galeryę. Spotykamy w niej dziewczynę, która parta żądzą miłości, pozwala się uwieść pierwszemu lepszemu, a następnie truje się; robotnika, w którym zmysłowość stacza walki ze skąpstwem; uczenicę, która fałszuje świadectwo, obawiając się kary, a następnie umiera pod wpływem wznowionej obawy; duchownego, który ulega wdziękom służącej i ze wstydu rzuca się z okna.

Ale nawet z założeń, opartych na jaśniejszych stronach natury ludzkiej, duch pesymizmu wyprowadza wyniki smutne. Utalentowany Aleksander Roberts zapoznaje nas w najnowszej powieści swej „Revanche" z francuzem, który wzięty do niewoli podczas wojny z niemcami, pokochuje i poślubia prusaczkę. Atoli Roberts nie pozwala tryumfować uczuciu pięknemu. Pożycie małżeńskie podkopuje szowinizm polityczny, który napełnia zamożnego kupca myślą o zemście narodowej, a z czasem pozbawia go mienia i życia.

A jednak można być realistą, nie obracając się wyłącznie w zaczarowanem kole zgubnych namiętności i nieszczęśliwych losów; co więcej, taki tylko autor zasługuje na nazwę prawdziwego realisty, który pozbywszy się czarnych szkieł Schopenhauera i Zoli, odzwierciedla obok nikczemności i nieszczęścia ową przymieszkę szczęścia opartego na wartości moralnej, jaką znajdujemy w życiu. Najlepsza bezsprzecznie autorka niemiecka, Marya Ebner-Eschenbach, jest realistką w tym duchu, a najnowsza powieść jej „Die Unverstandene auf dem Dorfe," stanowi wzór uszlachetnionego realizmu, stojącego wysoko ponad kronikarstwem kryminalnem i pornografią „najmłodszych Niemiec." A jednak i Eschenbachowa tym razem sięgnęła do sfery, z której Kretzer lub Bleibtreu wydobywają zazwyczaj tylko brudy i zgniliznę. Bohaterką jej utworu jest kobieta z ludu, a treścią — historya miłości i cierpień tej kobiety. Przywiązana zrazu do wieśniaka niegodnego jej uczuć, staje się ofiarą jego nieuczciwości i despotyzmu jego matki. Następnie łączy się węzłem małżeńskim z dżokejem Waltcrem, chłopcem dobrodusznym, lecz lekkomyślnym, a kiedy ten skręcił kark na turfie, nadarza się jej powtórnie sposobność poślubienia kochanka młodości, który właśnie owdowiał. Marya odpycha od siebie tę pokusę, czując, że wieśniak ów stałby się jej zgubą. Wreszcie znajduje szczęście w objęciach nauczyciela ludowego Antoniego, posiadającego wyższe wykształ-

cenie, a przytem serce szlachetne i wierne. Utwór Eschenbachowej zaleca się głębokością analizy psychologicznej, wiernością obserwacyi, rzewną poezyą, przebijającą przez obrazy pełne prawdy życiowej, a niemniej humorem spokojnym, przypominającym pióro Dickensa. Wybornie opisanem jest pożycie małżeńskie dżokeja; przepyszną scena miłosna, w której narzeczony spowiada się kochance z pierwszej miłości swej ku arystokratce Aglai.

Nazwaliśmy Eschenbachową realistką prawdziwą, mimo iż nie wyklucza ze swych utworów typów dodatnich, zajmującej akcyi, a nawet poezyi. Miana tego odmówić musimy owej kategoryi beletrystów niemieckich, którzy pisząc zupełnie na modłę dawnej, Spielhagenowsko - Marlittowskiej powieści, tu i owdzie umieszczają wstrętny kleks naturalistyczny, by utwór swój wypuścić w świat pod sztandarem realizmu. Głównym fabrykantem podobnych falsyfikatów literackich jest Dagobert Gerhard, piszący pod pseudonimem Gerhard von Amyntos. Najnowsza powieść jego „Stahl und Stein" stanowi niejako ekstrakt z kilku roczników *Gartenlaube*. Stara panna, rosyanka, żyjąca w Berlinie i znana jako osoba komiczna, żyje tylko dla pieska, którego kocha namiętnie. Na drodze żywota nawija jej się profesor niemiecki, który budząc w niej zrozumienie dla ideałów kobiet niemieckich, zarazem z serca jej wypiera pieska. Stara panna, w której autor zrazu okazuje nam osobę sztywną, nudną, o pojęciach przewrotnych, nagle staje się rozumną, szlachetną, a nawet piękną. Profesor oddaje opiece jej sierotę; stara panna pielęgnując ją w chorobie, poznaje dziecię byłego swego narzeczonego. Jest to sztuczka czysto Marlittowska, podobna do tej, jakiej i Kretzer użył w ostatniej swe powieści „Ein verschlossener Mensch." I taki to utwór Amyntos wydaje pod etykietą realizmu, dlatego, że portyerom hotelowym wkłada do ust żargon berliński, lub że pieskowi Piff pozwala „zatrzymywać się przez chwilę dłuższą u drzewa, by potwierdzić czynem przysłowie, że sprawy przyrodzone nie hańbią." Jak niejednolicie napisaną jest powieść Amyntosa, dowodzi okoliczność, iż w tym samym utworze znajdujemy następujące poetyczne porównanie (w opisie kanału berlińskiego Landwehr): „Zimne, jaskrawe słońce marcowe spoczywało na fali mętnej, spławiającej brudy wszelakie, na kształt myśli jaśniejącej na czole żebraka."

Zamykając przegląd najnowszych utworów powieściowych, wspomnimy o dwóch powieściach, napisanych na tle polskiem. Są to utwory o wielce nierównej wartości. Antoni Perfall, brat utalentowanego realisty Karola, w „Justiz der Seele" miał przed oczyma wymaganie czytelników pism ilustrowanych. Pełen scen efektownych, niepołączonych nicią rozwoju psychologicznego, wyzyskuje utwór ten czas rozruchów dla nadania tła zajmującego akcyi romantycznej. Młody człowiek, sam zaręczony, pożądając cudzej żony, zabija małżonka jej na polowaniu. Sprawiedliwość ziemska nie dosięga zbrodniarza, gdyż nie przypuszczano wcale, że zaszło morderstwo. Natomiast sumienie — sprawiedliwość duszy — zmusza mordercę do popełnienia samobójstwa na tem samem miejscu, na którem czynu owego dokonał.

Z nowości dramatycznych zapisać wypada dramat Rudolfa Gotschalla (wystawiony na scenie lipskiej) „Marya de Padilla, czyli córka Alhambry." Nieodgadnione czasem odbywają się procesy w umysłach poetów. Dlaczego Gotschall, jeden z najwytrawniejszych estetyków i historyków literatury, krytyk o smaku uszlachetnionym u schyłku życia swego znajduje upodobanie w przestarzałej niemieckiej „Haupt- und Staatsaktion" — to pozostanie tajemnicą nawet dla najbliższych przyjaciół poety, którzy krzywdzą go, ogłaszając w prasie, iż jest to jego „najlepsze dzieło." Dramat zawiera obrazy luźne, naszkicowane na tle walk Karola V ze zbuntowanemi miastami hiszpańskiemi, na których czele stanął Padilla. Sztukę rozpoczyna ślub jego z Maryą; tuż po ślubie dostaje się on do niewoli; Marya zaś spotyka dawnego kochanka swego, Ignacego Loyolę. Miasta obierają królową obłąkaną matkę Karola, Joannę Kastylską; zwycięzkiego Karola Marya powstrzymać chce w pochodzie, naprzód prośbami, następnie na czele powstańców. W akcie czwartym nagromadzone są efekty przesadne, godne sztuki czarodziejskiej, ale nie poważnego utworu. Przed cesarzem, zdobywającym zamek, zjawia się nagle Marya z pochodnią w ręku, grożąc mu wysadzeniem w powietrze całego zamku, skoro nie przystanie na jej warunki; równocześnie pęka wieża podminowana. Marya ginie na stosie. Prawdziwie dramatyczną jest jedna tylko scena, kiedy Karol sprzeczka się o tron z matką. Inne grzeszą nienaturalnością, podobnie jak charaktery i język osób występujących. W „Padilli" Gotschall wskrzesza dawną retorykę teatralną, która zalewa powodzią jambów niebo, gwiazdy, ziemię i osoby działające. Czytając ustępy ostatniego tego utworu, przypomniałem sobie wiersz pewnego poety niemieckiego. Znalazłszy się z Gotschallem na bankiecie literackim, został on przez niego drwinami ukłuty. Odciął się więc, improwizując:

Gotschall — Wortschall;
Poesie — nie!

Ladawa.

ANDRZEJ KRZYCKI *).

Posiew zjazdu imienia Kochanowskiego z r. 1884 zwolna przynosić zaczyna długo wyczekiwany plon. Włożony wówczas na barki Akademii umiejętności obowiązek podjęcia wydawnictwa *Biblioteki pisarzów polskich* doczekał się nareszcie urzeczywistnienia. Przed rokiem ogłoszono tom poezyj łacińskich Pawła z Krosna i Jana z Wiślicy, obecnie ukazał się świeżo wydawnictwa tego tom drugi (względnie trzeci) zawierający poezye Krzyckiego, jednego z wybitniejszych łacińsko-polskich poetów epoki Zygmuntowskiej, późniejszego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Jest to pierwsze w literaturze naszej zbiorowe wydanie rozproszonych w druku lub rękopismach łacińskich utworów tego poety. Prof. Morawski, który zajął się uporządkowaniem i krytycznem opracowaniem tego materyału, nie łatwe miał zadanie. O ile bowiem zgromadzenie ogłoszonych drukiem wierszy Krzyckiego nie nastręczało wielkich trudności, to natomiast do zebrania rękopiśmiennej jego spuścizny trzeba było przerzucać archiwa z XVI w., akta tomicyańskie i rozliczne zbiory, kodeksy i zapiski współczesne.

Mozolnego tego zadania dopełnił prof. Morawski z sumiennością godną męża nauki i obdarzył literaturę książką niepośledniego znaczenia i wartości. Krzycki jest w literaturze naszej jednym z przedstawicieli epoki przejściowej między okresem złotym a dobą klasyczną. Stoi on na przełomie pojęć klasycznych, ustępujących miejsca pierwszym brzaskom poezyi rodzimej i z tego względu znaczenie jego dla epoki Zygmuntowskiej nierównie jest większem, niżby się na pozór zdawać mogło. W łacińskiej formie poezyi jego czuć już świeższy powiew nowszych prądów swojskiego kierunku. W klasyczne kształty zakuta myśl zrywa się tu do swobodniejszego lotu, torując drogę pojęciom Reja i Kochanowskiego. Lubo głośnym był współcześnie Krzycki i niepodrzędną wcale odgrywał rolę między autorami okresu łacińskiego, to jednak sława jego zgasła wprędce z chwilą, kiedy zajaśniały imiona tych dwóch pierwszych przedstawicieli oryginalnej polskiej poezyi. I byłby niewątpliwie, jak wielu innych, utonął nazawsze w fali zapomnienia, gdyby przyjaciel jego i wielbiciel współczesny Stanisław Górski, znany zbieracz „Tomicianów," nie był wystawił mu trwałego pomnika. Zebrał on duży foliał poezyj, krążących w odpisach, objaśnił szczegółowo wszystkie zawarte w nich aluzye do współczesnych ludzi i stosunków i tym sposobem przekazał we właściwem oświetleniu całą duchową spuściznę Krzyckiego. Praca Górskiego dochowała się do naszych czasów w trzech rękopismach z XVI w. i one to posłużyły prof. Morawskiemu jako główny materyał do wydania. Zawiera on je w ośmiu rozdziałach. Na czele znajdujemy poezye kościelne, dworskie (dotyczące Zygmunta Starego i jego dworu), dalej wiersze polityczne, satyryczne, nagrobki, erotyki, drobiazgi okolicznościowe, wreszcie „Dialogus de Asiana diaeta." Wstępem do pism jest obszerna przedmowa. Daje w niej autor dokładny życiorys Krzyckiego i wiadomości o wszystkich znanych jego biografach, a obok tego ocenę i charakterystykę twórczości z wielu względów ciekawą i trafną. Uważa on Krzyckiego jako wydatny w literaturze naszej typ poety-dworaka i humanisty. Przygodność, zdaniem p. M., najwięcej odpowiada rozlazjowi jego talentu. Niezrównany jako satyryk i dworak w kreśleniu złośliwych epigramatów, pieśni miłosnych lub drobnych okolicznościowych żartów, gorzej nieróżnie przedstawia się w kierunku poważniejszym. Myśl, przywykła do zajmowania się drobnymi i lekkimi tematami, odmawia mu wręcz posłuszeństwa. W szumie frazesów klasycznych topi zazwyczaj wszelki pomysł poetycki a utwory owe wyglądają, jak nieudolne próby rymowania kronik historycznych. Pod względem formy jest Krzycki ślepym naśladowcą poetów klasycznych. O ile jednak z pomiędzy współczesnych mu autorów każdy niemal zdradza w pismach swych przejęcie się pierwowzorem jakiegoś danego pisarza, o tyle Krzycki jest połączeniem wszystkich. Widnieją u niego zwroty Wergiliusza, Owidyusza, Plauta, Horacego i Juwenala. Ten ostatni szczególniej odpowiadał satyrycznemu usposobieniu Krzyckiego i jego też reminiscencyj najwięcej u niego się spotyka. Satyryczna i miłosna nuta panują u niego głównie. Miłosne utwory Krzyckiego nie są lekkimi płodami roztkliwionej wyobraźni średniowiecznego trubadura, ale wprost najcyniczniejszemi refleksyami na temat zmysłowy. Taki charakter mają liczne wiersze do niejakiego IMC. Pana Korybuta Koszyrskiego, który był, jak się domyślać można, patronem jakiejś hultajskiej, bardzo wesoło żyjącej czeredy. Krzycki widać znał dobrze owego pana i w blizkich z nim pozostawał stosunkach, a ta strona poglądów jego nieznana a może tendencyjnie pomijana jest wydatnym a godnym zaznaczenia rysem do charakterystyki pojęć i obyczajów duchowieństwa naszego w XVI wieku. Jeżeli tego nastroju płody wychodziły z pod pióra arcybiskupa gnieźnieńskiego, jakżeż łatwo wytłomaczyć sobie tym faktem cały odnośny erotyczny kierunek poezyi, wobec którego i Jan z Czarnolasu z *Fraszkami* swemi nie chciał pozostać w tyle. Gdyby nie skrzętność wydawcy, możeby szczegół ten uszedł był uwadze historyków literatury a potomność gotowaby jeszcze domagać się kiedy beatyfikacyi owego naczelnika kościoła polskiego.

Wracając do strony krytycznej wydania, nadmienić trzeba, że jest ona pod każdym względem godną pracy akademika. Tekst poezyj opatrzony wszędzie wyczerpującemi uwagami i objaśnieniami zarówno lingwistycznemi, jak historycznemi, a te

*) Andreae Cricii carmina edidit, praefatione instruxit, adnotationibus illustravit Casimirus Morawski. Cracoviae, 1888. Wydanie Akademii umiejętności.

ostatnie uwzględniają nawet najnowsze do tej doby prace, np. dzieło Hirszberga o Łaskim.

Życzyćby należało Akademii, aby rozpoczęte tak starannie wydawnictwo z równą usilnością i troskliwością dalej prowadziła. Czas już wielki, aby instytucya, tak ważne wobec ogółu dźwigająca obowiązki, otrząsła się raz z apatyi i martwoty w jaką ją garstka u steru niestety stojących zacofanych gasicieli prawdy i niepodległości ducha niezmordowanie usiłuje pogrążyć.

W. P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Kilka tysięcy zbrojnych przeciw kilkuset tysiącom niezbrojnym. — Konfederacya anti-kanalizacyjna. — Śmiech p. Lindleya. — Obojętność prasy. — Katedra publiczna jako kazalnica reklamy. — Szaweł aleopatyczny Pawłem homeopatycznym.— Bulanżyzm terapii. — Dopuszczenie kobiet do aptekarstwa. — Konieczny przymiot. — Tajemniczy doktór w siermiędze.— Wytwór imaginacyi reporterskiej, czy rzeczywistość.

Walka pomiędzy półmilionową ludnością Warszawy a paroma tysiącami właścicieli jej domów, czyli pomiędzy szanownym prezydentem Starynkiewiczem, za którym stoją inżenierowie i lekarze, a pp. Blochem, Krasińskim, Bardzkim, Mirosławskim *et tutti quanti* nie obiecuje zgodnego rozwiązania, gdyż pierw i zbyt ukochali czystość i zdrowotność miasta, drudzy zaś — jego brudem oblepioną oszczędność. Kto nie rozumie tej walki a pragnąłby w niej przechylić się na jedną lub drugą stronę, niech skorzysta z pory wynajmu mieszkań i zwiedzi domy warszawskie. Znajdzie okazałe na zewnątrz kamienice, których wnętrza obejmują tak cuchnące śmietniska, że na dachach możnaby stawiać trójnogi Pytiom i odurzać je mocniejszymi od starożytnych wyziewami; znajdzie mieszkania tysiąco i dwutysiąco-rublowe z milfleurem chlewnym, znajdzie lokale uboższe przyległe miejscom ustępowym, znajdzie szyk okrywający brudy lub nędzę pierwotnej kultury. A wtedy zrozumie czego dla miasta chce gen. Starynkiewicz, a czego pp. Bloch, Krasiński, Mirosławski itd. Pierwszy, odczuwając dobro całej ludności, żąda przymusu w skanalizowaniu domów, drudzy zaś, odczuwając wydatki właścicieli, żądają swobody. P. Lindley słucha tych sporów i śmieje się: śmieje się z konfederatów walczących pod sztandarem ledwie znanego innym miastom europejskim niechlujstwa, śmieje się z obojętnej na tę ważną sprawę opinii publicznej, śmieje się z charakterystycznego stosunku stron i może przytem myśli: tu wprzódy należałoby skanalizować głowy. Na szczęście nie rozumie po polsku, bo roześmiałby się jeszcze złośliwiej, gdyby wysłuchał w sali Ratuszowej odczytu p. A. Suligowskiego o naszych mieszkaniach, poznał szczegółowiej ich tajemnice i dowiedział się, że przedmiot tego wykładu był dla warszawiaków zbyt „nudnym.“ Bo cóż tu ciekawego, że mieszkańcy żyją w niewygodach i brudzie jak inwentarz zbankrutowanego szlachcica, że na 450,000 osobników mamy śmiertelność dwa razy większą, niż Londyn z 5 milionową ludnością? Co w tem zajmującego? Wątpię, czy nawet Pytia, zasiadłszy na dachu jakiejś nieskanalizowanej kamienicy, wywróżyłaby, co się stanie z naszą kanalizacyą. Jeżeli ona jednak przełamie opór tych, którzy nie potrzebują wynajmować „salonu“ z nieczystymi kojcami, stanowiącymi zwykłe mieszkanie rodziny warszawskiej, i dojdzie do skutku, będziemy mieli ten sam widok, jaki oglądaliśmy po uwłaszczeniu włościan. Szlachta nasza myślała o tem, gdzieniegdzie nawet zdobyła się na ofiarę, ale większość opierała się, gdyż to „zrujnowałoby“ obywateli ziemskich. W czasie tych rozmyślań, sporów, wahań i obaw włościanie zostali uwłaszczeni drogą nakazu prawodawczego. W pierwszych latach po reformie wiara w tę ruinę odzywała się głośno, potem coraz ciszej, a wreszcie zaczęto z chlubą wydobywać nazwiska tych ziemian, którzy szczerze i gorąco radzili... skanalizować gospodarstwa pańszczyźniane. Cóś podobnego powtórzyć się może z kanalizacyą miejską. Dziś właściciele domów, jak dawniej folwarków, opierają się przymusowi, przepowiadają ruinę, bankructwo, niewypłacalność podatków, a jeżeli skanalizowanie Warszawy nastąpi z rozkazu a jej mieszkańcy używać zaczną dobrodziejstw przemiany, będą mówić kiedyś: prawda, mieliśmy Blochów, Krasińskich, Bardzkich, Mirosławskich, którzy przeciwstawiali się kanalizacyi, ale mieliśmy również (tu będą wymienieni zwolennicy reformy, o których dziś nikt nie wie, ale którzy wówczas wyrosną na bohaterów) — *skich* i — *iczów*... I gdyby nam tylko pozostawiono czas... Niestety, ten „czas,“ którego my potrzebujemy dla dojrzałości naszych namysłów, jest zwykle tak wielki, że zawsze go przetnie jakiś przymus, wyręczający naszą wolę.

Przy sposobności uwaga. Nie dziwi mnie ani p. Bloch, ani p. Krasiński, ani wszyscy „protestanci“ kanalizacyi, którzy zbyt wygodnie mieszkają, a niektórzy z nich zbyt odczuwają uszczerbki swej kieszeni, ażeby mieli blizko przysuwać do swego serca korzyść ludzi, nieuszczęśliwionych posiadaniem domów; ale co jest zdumiewającem, to obojętność prasy w tym przedmiocie. Tak ją zahypnotyzowało bogate mieszczaństwo lub tak zajął kurz życia codziennego, że nie śmie lub nie chce odezwać się w obronie interesu setek tysięcy ludzi.

Odczyty Osad rolnych stanowczo wymagają gruntownej kanalizacyi. Zanieczyściły się bowiem blagą, spekulacyą na łatwowierność ludzką i zuchwałym frazesem. Po raz drugi już katedra publiczna, która powinna być szanowaną, służy za kazalnicę osobistej reklamy. P. Ochorowicz zniósł na niej jajko, z którego wyklul się p. Drzewiecki; pierwszy ogłosił bankructwo medycyny i zalecił hypnotyzm, drugi ogłosił bankructwo aleopatyi i zalecił homeopatyę. O nowym apostole słyszeliśmy tylko, ile razy gdzieś wyjeżdżał z Warszawy, gdyż te doniosłe wypadki *Kuryery* zapisywały skwapliwie w mniemaniu, że nie jest obojętnem dla świata, gdzie w danym czasie p. Drzewiecki się znajduje — w Warszawie, Petrykozach, Kocku, czy Londynie. Z *Kuryera codziennego* dowiadujemy się, że świeży homeopata niedawno zeszedł z ławki uniwersyteckiej, niedawno drukował rozprawę aleopatyczną i również niedawno „podawał chorym salicylan sodu w dawkach, na jakie odważyłby się nie każdy aleopata.“ Innemi słowy: wczorajszy zwolennik obfitego nadziewania lekarstwami chorych, stał się dzisiejszym wyznawcą dawania im drobin jak najmniejszych. Przed miesiącem jeszcze byłby wlewał rzeki mikstur w gardła pacyentom, obecnie sądzi — choć to uważa tylko za koncept — że kto chce wziąć na wymioty, niech wrzuci szczyptę emetyku do Wisły, pojedzie do Płocka i tam wypije szklankę wody albo że kura, stojąca nad rzeką i rzucająca na nią cień, tworzy rosół homeopatyczny. Podobno była chwila, kiedy p. Drz., olśniony powodzeniem p. Ochorowicza, chciał zostać hypnotyzerem, ale jakieś pobudki przechyliły asystenta kliniki w szpitalu św. Ducha na stronę homeopatyi. Jeden tylko rys zachował po swym duchowym ojcu — rys najgorszy: mianowicie jak p. Ochorowicz sprawę leczenia hypnotyzmem, tak p. Drz. sprawę leczenia homeopatyą wytoczył nie przed gronem specyalistów, ale przed zwykłą publicznością, którą zdurzyć łatwo i która ma w pogotowiu oklaski dla wszelkiego szumnego frazesu, chociażby nim dowodzono — jak mówi Tylor — że dwa boki trójkąta są krótsze od trzeciego. Jest to bulanżyzm naukowy, unikający instancyj właściwych i sądu rzeczoznawców, uciekający się do plebiscytu, apelujący do „narodu.“ Boulangerem terapii był p. Ochorowicz, Boulangerkiem chce być p. Drzewiecki, który potępia całą rzeczpospolitą medycyny, jej siły i środki, obiecując, że gdy on stanie przy... łóżku chorego, dopiero pokaże swą „boską prawdę.“ Bo tak się teraz w języku byłego aleopaty nazywa homeopatya. Czy on za dwa tygodnie, przekonawszy się, że nowy konik źle go nosi, nie zostanie znachorem, masażystą, wróżem, zażegnywaczem? Czemu nie, jeśli zobaczy, że „statystyka“ wskazuje mu nową drogę. Bo ona to jest jego przewodniczką. Czemu aż dotąd nie spłynęło na niego jej światło, pytać nie potrzebujemy, boć przecie i Szaweł był poganinem, chociaż prawdziwa wiara istniała i chociaż on daleko wcześniej uderzony jej blaskiem mógł był zostać Pawłem.

Trzeba nieszczęścia, że akurat wtedy, kiedy najżarliwszy kapłan aleopatyi przeszedł na wiarę homeopatyczną, kobiety dopuszczone zostały do aptek. Biedne, ileż straciły! Kandydatki do „oficyn zdrowia“ winny okazać świadectwa ze znajomości kursu nauk, odpowiadającego czterem klasom gimnazyów męskich łącznie z językiem łacińskim. Posiadające patent na nauczycielki domowe obowiązane są złożyć egzamin tylko z tego języka w gimnazyum i progimnazyum męskiem albo też przed osobnym komitetem. Po ukończeniu praktyki egzamina na podaptekarki lub prowizorki odbywać się będą na uniwersytetach. Ale przygotowywać się do nich musi każda kandydatka prywatnie. Nie jest to warunek groźny. Może dziś jest inaczej, ale za moich czasów farmaceuci nie naprzykrzali się zbytecznie profesorom swą obecnością w audytoryach i przeważnie kształcili się po za murami uniwersytetu. Nabywali „kursa“ litografowane lub podręczniki i „kuli“ je w Warszawie lub na prowincyi i dopiero pora egzaminów ściągała ich ze stron najrozmaitszych. W ten sam sposób i kobiety potrafią uzbierać sobie posag wiedzy. Prawo nie pozwala im pracować wspólnie z mężczyznami. Muszą więc powstać apteki rodzaju żeńskiego. Czy one zyskają powodzenie? Pytanie to pojęte poważnie równa się innemu: czy kobiety okażą należyte zdolności w tem powołaniu? Zdawałoby się, że jest ono jak gdyby dla nich stworzone: nie wymaga pracy ciężkiej, ruchliwej, narażającej ich naturę fizycznie i materyalnie, można więc być pewnym, że opanują nowe stanowisko, jeśli tylko zdobędą się na wielką sumienność. To też zwłaszcza pierwszemu ich szeregowi radziłbym niezmordowaną w tej cnocie usilność, gdyż one rozstrzygną nietylko własną, ale i swojej płci sprawę, którą na długie lata może zabić jedna lekkomyślność, jeden niedozór.

Do pierwszej apteki — opowiada *Kuryer warszawski* — przybył włościanin w siermiędze i zażądał rozmaitych leków a między nimi i trucizn w dość znacznej ilości. Naturalnie aptekarz odmówił wydania środków trujących; wtedy chłopek wyjął z kieszeni dyplom uniwersytecki, gdyż był lekarzem, ale po skończeniu studyów powrócił do swej rodzinnej sfery. Miał to być jakiś *D.* Czemu zatajono jego nazwisko? Ponieważ o takim dzielnym człowieku nie słyszeliśmy, ponieważ gdyby istniał, zasługiwałby na wyjątkowy szacunek, czemuż zastosowano do niego tę dyskrecyę, którą pisma brukowe zwykle pokrywają wyższego rzędu przestępców? A może jest to wytwór imaginacyi reporterskiej, która w tym razie nie ulegnie „sprostowaniu?“ Za zbyt pięknie i romantycznie wygląda ten D.

lekarz w sukmanie, ażeby można było uwierzyć jego istnieniu w czasie, kiedy fabryka, wyrabiająca sześcioraczki, hypnotyzacye tramwajowe i inne dziwy, jest bardzo czynną. Niech więc posiadacz tajemnicy nie intryguje nas bez potrzeby i zdradzi nazwisko człowieka, który większą ma dla nas wartość, niż wszystkie pod pseudonymami ukryte „sylfy.“

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

W departamencie lekarskim opracowywany jest projekt otwarcia posad felczerów powiatowych, którzyby mogli nieść śpieszną pomoc chorym w zastępstwie lekarzy.

Cło od wełny podniesione będzie o rubla na pudzie.

Ministeryum dóbr państwa zamierza w guberniach południowych, a w części i we wschodnich, zakładać owczarnie rozplodowe.

Drobny przemysł. W niektórych miastach gubernialnych mają być otwarte muzea drobnego przemysłu wiejskiego i wyrobów rolnych. Będą się one tem różnić od istniejących muzeów w Moskwie, Permie i innych miejscowościach, że staną się zarazem punktami zbytu przedmiotów.

Mennica petersburska w ciągu roku zeszłego odbiła złotych pieniędzy w ilości 27,055,175 rubli, srebrnych 1.570,553 i miedzianych na 100,000 rubli kruszcowych.

Wystawy. Główny zarząd stadnin rządowych urządza w r. b. w Cesarstwie 81 wystaw koni włościańsko roboczych i dwie wystawy w Królestwie Polskiem, z których pierwsza odbędzie się w Lublinie 19 maja, druga w osadzie Janów, gub. siedleckiej, 26 września. Nagrody dla 50-ciu wystaw zarząd stadnin wyznaczył wyłącznie dla włościan w sumie ogólnej 17,000 rs., dla pozostałych zaś 108 medalów różnej wartości i 106 listów pochwalnych.

— Wystawa przemysłowo - rolnicza, powiatowa, będzie urządzona w r. b. w Piotrkowie.

Kantory bankierskie będą ograniczone w swej działalności. Nie wolno im będzie przyjmować pieniędzy na rachunek bieżący i sprzedawać na raty papierów publicznych.

Suszarnia chmielu powstaje w Warszawie.

Samobójstwa. W ciągu r. z. stwierdzono urzędownie 5,385 samobójstw w całem państwie ruskiem.

Katastrofy. Ośmiu robotników, pracujących przy wznoszeniu wałów ochronnych, utonęło w Cissy.

— W St. Antonio di Cave, wiosce położonej między Palestrina i Genazzano, podczas mszy, zapadła się posadzka kaplicy wiejskiej. Obecni wieśniacy runęli w głębię ośmiometrową. Większość ich otrzymała śmiertelne obrażenia.

Pożary stepów w Dukola i Minnesota ogromnie się rozszerzają. Ogień się rozchodzi na setki mil kwadratowych, tysiące zwierząt się pali i dusi. Szkody obliczają na miliony. Liczba ofiar w ludziach jest znaczna.

Fałszerzy marek pocztowych wykryto w Bukareszcie. Śledztwo wykazało, że banda, do której należało kilku wyższych urzędników pocztowych, podrabiała już od lat kilku marki i puszczała je w obieg.

Rewizya. Jedna z fabryk pudełek, jak donosi *Kur. codz.*, zaprowadziła zwyczaj rewidowania robotnic, wychodzących po pracy. Środek ten zastosowano jednocześnie do osób pracujących w kantorze. Niektóre robotnice, oburzone tem, usunęły się od zajęć.

Przemysł fabryczny. W okolicy Sielc pod Sosnowcem, ma powstać nowa stalownia. Fabrykę urządzają przemysłowcy śląscy, posiadający już pod Sosnowcem zakład rur ciągnionych do rozprowadzania gazu.

Zgromadzenie kupieckie zawiązało się w Radomsku.

Nafta. W Baku powstanie spółka, mająca na celu wywóz nafty do Chin, Japonii i Syberyi wschodniej. We Władywostoku i Petrozawodsku towarzystwo założy składy główne.

Szkoły. Ministeryum wychowania publicznego, jak donoszą *Nowosti*, uważając, że nauka śpiewu i muzyki nietylko rozwija poczucie piękna w uczącej się młodzieży, lecz jednocześnie chroni ją od szkodliwych wpływów moralnych, zwraca uwagę kuratorów okręgów naukowych na tę stronę wychowania uczniów i prosi o współdziałanie w zaprowadzeniu wykładów śpiewu i muzyki w zakładach naukowych męzkich i żeńskich.

— Dzienniki ruskie donoszą, że z początkiem przyszłego roku szkolnego ma być unormowana opłata szkolna we wszystkich gimnazyach, progimnazyach i szkołach realnych męzkich rządowych. W gimnazyach i progimnazyach opłata ma wynosić rocznie dla klasy przygotowawczej 30 rs., klasy pierwszej do czwartej włącznie 40 rs., dla następnych czterech 60 rs. W szkołach realnych dla wszystkich klas opłata wynosić będzie 40 rs.

Warsz. Dniew. pisze: „Dowiadujemy się z zupełnie wiarogodnego źródła, że po wielokrotnych prośbach senatora Gudowskiego o uwolnienie go od obowiązków prezesa teatrów warszawskich, skutkiem rozstroju zdrowia, nastąpiła zgoda na to J. E. Głównego Naczelnika kraju i że generał-major Palicyn naznaczony został pełniącym obowiązki prezesa teatrów tutejszych.

Bibliografia. W. Zagórski, *Nowele*, str. 224, Warszawa, Centnerszwer.

— A. G. Bem, *Jak mówić po polsku*, zeszyt 4.

— Br. Lande, *Wzory i tematy ćwiczeń stylistycznych*, str. 180, Warszawa, Arct.

Poczta. Z dniem 13 kwietnia obowiązuje nowo zatwierdzona podwyższona taryfa pocztowa w komunikacyi międzynarodowej. Opłata za list zwyczajny wynosi 10 kop., za rekomendowany 20 kop., za otwarty 4 kop.

Zmarli. Marya Zaleska autorka wielu książek dla dzieci. Ur. w r. 1831 w gub. kijowskiej. Popularyzowała nauki przyrodnicze dla dziatwy. Ważniejsze jej prace: „Listki i ziarnka,“ „Nauka o rzeczach,“ „Obraz świata roślinnego,“ „Pogadanki naukowe,“ „Świat zwierzęcy,“ „Wędrówka po niebie i ziemi,“ „Wieczory czwartkowe.“ Przez lat kilkanaście prowadziła w *Kłosach* dział nauk przyrodniczych. Brała udział w *Wieczorach rodzinnych*.

— Michał Eugeniusz Chevreul, nestor chemików współczesnych w Paryżu. Żył lat 103. Ur. w. r. 1786, W r. 1809 mianowany został pomocnikiem profesora chemii, Vauquelina, w Sorbonie. Od r. 1813 do 1830 był profesorem nauk fizycznych w liceum Karola Wielkiego. W r. 1820 został dyrektorem farbiarni w fabryce gobelinów. W r. 1830 został profesorem chemii stosowanej w muzeum przyrodniczem. Napisał wiele dzieł i artykułów cennych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

C. N. Przekład jest bardzo nieścisły i dlatego w tej formie drukować go nie możemy.

nr. Niema takiej. Wiadome odczyty *Przegl. tyg.* 1873 i 1874, „Fil, niew.,“ *Tydzień* lwowski 1876, oraz przy „Dramatach.“

A. S. Sprzeczność tę, która wynikła z rozmaitych informacyj, mogłaby rozstrzygnąć tylko jakaś studentka. Wogóle, ponieważ uniwersytety zagraniczne często zmieniają swe przepisy względem kobiet, najlepiej zasięgnąć objaśnienia na miejscu.

Panu B. M. w Kijowie. Katalogów takich niema. Płótna te znanę są tutejszym wystawcom bądź z widzenia, bądź ze słyszenia. Ściślej wszakże odpowiedzi znikąd otrzymać nie mogliśmy.

Panu M. M. Ch. w Kijowie. Listy w sprawie *Słownika geogr.* należy adresować do księgarni Gebethnera i Wolffa.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Sprostowanie. Na str. 175. szp. 2, wiersz 14 od góry, zamiast „pracować,“ winno być „pracuje“; w. 24 zam. „bohaterstw“ — „bohaterstwa“; w. 35 zam. „stosunki“ — „obowiązki“; w. 22 od dołu zam. „resztę“ — „rentę“ i w. 34 zam. „tandetki“ — „tandetni.“

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Апрѣля 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.